Rok 1900. Lwów, 21. października Nr 54.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 54:



BOHATER W SUKMANIE.

E. M.

BOHATER W SUKMANIE.

„Czemu tęsknisz, biedna duszo,
Czemu trosk cię szpony kruszą,
W oku krople łez?...
Śnij — w snach znajdziesz ukojenie,
Ojców drogie ujrzysz cienie,
Żalów znajdziesz kres!“

Tak mi szepce senna cisza,
Co powoje marzeń zwiesza
Na znękaną skroń —
Dumam.. Czarownemi sploty
Rwie mię sen, gdzie promień złoty
Barwi niebios błoń...

. . . .

Słyszysz działa? Bój wre dziki,
Na śmierć zbrojne pędzą szyki,
Haseł lata głos:
„Bądź nam tarczą, Ojców Panie!“
Gromi wrogów Mąż w sukmanie,
Wśród pochrzęstu kos...

. . . .

Pierzchnął sen.. Przed oczy moje
Bohaterów płyną roje,
Płyną w wspomnień mgle...
Kos poświsty się ozwały!
Z *taką* bronią w pole chwały
Lud swych synów śle!

Pierzchnął sen... W zbolałem łonie
Ufność — żagwią szczęścia płonie,
W sercu jutrzni blask...
Czuję, że się modlić trzeba:
Patrz Kościuszko na nas z nieba,
Wiedź w swobody brzask!...

Choć i dziś się niebo chmurzy,
Choć nie widzim w mrokach burzy
Często prawych dróg,
Ufność bracia! Kiedyś wstanie
Z kosą w ręku Mąż w sukmanie —
Za Nim będzie Bóg!...

Polemika.

Trzechkrotnie już poruszyliśmy sprawę wynaradawiania się ludu polskiego we wschodnich powiatach Galicyi, a pisząc o tem, oparliśmy się na odezwach ks. dziekana i prałata Gromnickiego, oraz na nadesłanej nam korespondencyi przez jednego z kapłanów polskich z Podola, który to kapłan nawoływał duchowieństwo i szlachtę do większej opieki nad narodowemi potrzebami ludu polskiego na Wschodzie.

Z powodu wystąpienia właśnie owego kapłana podolskiego, ks. prałat Gromnicki zamieścił w „Gazecie Narodowej“ artykulik (Nr. 262), gdzie kapłanowi temu czyni wyrzuty za rzekomo niesłuszne rekryminacye. Wprawdzie zaczepiony kapłan-autor nie dał dotychczas odpowiedzi na artykulik ks. Gromnickiego, ale za to inny duchowny nadsyła nam pismo, które tutaj zamieszczamy w tej myśli, iż dyskusya w sprawie, tak bardzo dla nas doniosłej, jest potrzebną i potrafi tylko ożywić akcyę ratunkową.

Oto, nadesłany nam artykuł:

„Odnośnie do notatki ks. prałata Gromnickiego, zamieszczonej w Nr. 262 „Gazety Narodowej“, przeszukałem wszystkie, dotąd wyszłe, zeszyty „Tygodnika Narodowego“, ażeby odnaleść ów straszny list „nieznanego kapłana z Podola“, który w tak wysokim stopniu „obraził“ naszą szlachtę podolską, jak to ks. Gromnicki z Buczacza we wspomnianej notatce napisał. Szukałem też owych wyrażeń, co to miały tak uwłaczająco dotknąć szlachtę podolską, tę szlachtę, co to „od 50 lat aż 17 kaplic i kościołów wzniosła i wszystkie (?!) podolskie parafie fundowała“ (chyba nie dzisiejsza!) i — n i e z n a l a z ł e m ani takiego listu, ani takich wyrazów, ani takich zarzutów, któreby — wedle wyrażenia się ks. Gromnickiego — „nie po kapłańsku i niepoczciwie“ były napisane.

Znalazłem wszystkiego trzy artykuły, omawiające narodowe i religijno-obrzędowe stosunki naszego polskiego ludu na Podolu i to szczególnie — jak tam zaznaczono — ze stron tarnopolsko-zbarazkich. W artykułach tych stwierdzono, że u tamtejszego ludu polskiego zanika poczucie narodowe na korzyść rusinizmu i że lud ten przechyla się do obrządku grecko-katolickiego. Jako przyczynę zaś tego, podwójnie — bo religijnie i narodowo — zgubnego objawu podano ten istotny fakt, że lud polski w życiu codziennem zaprzestał używać mowy polskiej i wstydzi się jej, jako „mowy pańskiej“, że przestaje już rozumieć pacierz polski i polskie nabożeństwo dodatkowe, a tym sposobem odstręcza się od swego obrządku łacińskiego, tępieje religijnie i moralnie i rwie się do obrządku grecko-katolickiego, jako do „swojej, chłopskiej religii“. Dalej powiedziano w owych artykułach, popartych listem nieznanego kapłana z Podola, że panowie nigdy nie mówią do tego ludu po polsku, ale po rusku, i że nie czuwają nad tem, ażeby lud ten między sobą i z właścicielami dóbr, Polakami, polskiej używał mowy.

To tylko znalazłem w „Tyg. Narod.“, ale to są fakta; smutne wprawdzie, zawsze jednak fakta, którym nikt nie zdoła zaprzeczyć. Sam ks. Gromnicki w „Gazecie Narod.“ faktom tym nie zaprzecza i tylko podnosi zasługi szlachty podolskiej w tem, że buduje kaplice i kościoły.

Czytając wszystkie artykuły, muszę stwierdzić, że ani ów nieznany kapłan z Podola, ani „Tygodnik Narod.“ zasług szlachcie podolskiej nie zaprzeczał. Owszem w artykule (Nr. 49) „Wynarodowienie ludu“ zasługi te z a s z c z y t n i e u z n a j e, a tylko dodaje jasno, zrozumiale i słusznie, że „same mury kaplic i kościołów nic jeszcze nie zdziałają, jeżeli nie zapalimy ognia poczucia patryotycznego w żywych sercach ludzkich, — a więc i kaplic łacińskich i serc polskich potrzeba nam w tej, tak bardzo zagrożonej dzielnicy ojczystej“. — „Prosić więc należy — czytam w tym samym artykule — prosić należy możnych panów, iżby z chłopem polskim po polsku mówili; komuby zaś nie pomogła prośba, — stawić pod pręgierz wzgardy publicznej“.

Jeżeli zaś to mówienie panów z chłopem polskim po rusku, a tem samem odciąganie go od polskości i kościoła łacińskiego, nie jest prawdą, to niechajby ks. Gromnicki dał był w swem piśmie dowody. Tymczasem takich dowodów w piśmie ks. Gromnickiego niema; jest tylko potępienie i chłostanie nieznanego kapłana z Podola za rzekomą obrazę szlachty.

A więc występywać w obronie narodowości polskiej, zanikającej wśród chłopów podolsko-polskich, to u p o l s k i e g o księdza nazywa się „niepoczciwie pisać“? A bronić się odstępstwu od kościoła łacińskiego i przeciwdziałać agitacyom hnilickim i naumowiczowskim, — to „nie po kapłańsku“?

Zadałem pytania i odpowiem na nie cytatem z notatki samego ks. Gromnickiego w „Gaz. Narodowej“: „...sprawa nasza i słuszna, i święta, i walczyć o nią należy; nam trzeba się trzymać tradycyi starej, aby kościół (rz.-kat.) opierał się zawsze o dwór (polski), a dwór o kościół“...

Czekałem, żali zaczepiony kapłan, a korespondent „Tygodnika Narod.“ da odpowiedź na niesłuszne wystąpienie ks. Gromnickiego, co powinien był uczynić. Gdy to dotychczas nie nastąpiło, piszę tę odprawę ja, jako naoczny świadek tego, co się dokoła dzieje i znowu słowami ks. Gromnickiego oświadczam, że „przykro mi, że występuję przeciw kapłanowi, ale sama sprawa Boża tego wymaga, a poczucie sprawiedliwości żąda tego koniecznie“.

Ks. Michał Piotrowski,
proboszcz w Skałacie i inter. dziekan tarnopolski.

Z tygodnia.

Niefortunny mieliśmy tydzień dla wydawnictwa. Ostatni numer „Tygodnika“ skonfiskowała c. k. Prokuratorya państwa za ustęp o arcybiskupie ks Stadlerze i stanowisku, jakie zajął Leon XIII. wobec jego zajścia z rządem węgierskim. Konfiskata była nam niespodzianką, o tyle więcej przykrą, że — mówiąc wyrażeniem kupieckiem — „nie prowadzimy u siebie tego towaru“ i prowadzić go nie pragniemy, a sądziliśmy, że omawianie wypadków polityki węgiersko-kroackiej, chociażby ze stanowiska dla Madjarów mniej przychylnego, nie jest w Austryi znamieniem braku lojalności.

Skutkiem konfiskaty, dokonanej w sobotę wieczorem, mogliśmy dopiero w poniedziałek zarządzić drugi nakład i w dniu tym rozesłaliśmy go Szanownym Czytelnikom.

* * *

Ale przykrości lubią chadzać w parze. P. prokuratorowi nie podobała się historya o ks. Stadlerze, a równocześnie komuś interesowanemu nie przypadł do smaku zamieszczony przez nas artykuł, pt. „Krytyka, czy reporterka teatralna“ i zamieścił replikę w „Nowej Reformie“.

Przeciw polemice rzeczowej nic, oczywiście, nie mamy; owszem, jest ona pożądaną w sprawach publicznych. Niechaj jednak dyskusya będzie istotnie rzeczową, a nie osobistą. Tymczasem anonimowy autor wspomnianej repliki, zamiast dowodzić niesłuszności opinij, wypowiedzianych w artykule naszym, rzuca się na osobistość piszącego, traktuje go mianem „aroganta“, przypomina mu „rasę“ i t. p., a wszystko to z powodu, że ośmielono się twierdzić, iż we Lwowie bardzo często, zamiast właściwej krytyki, prowadzono reporterkę teatralną, równie szkodliwą dla sceny, jak i dla publiczności. Że przytem byli i są ludzie, którzy kompetentnie i sumiennie traktują sprawozdania o teatrze, to nie wyklucza słuszności twierdzenia, iż zbyt często wydawnictwa lekceważyły sobie dział teatralny i powierzały go — reporterom. Wytknięcie tej wady, właśnie przed otwarciem nowej epoki teatru lwowskiego, było chyba jedynie użytecznym, a nigdy szkodliwym krokiem i nie pojmujemy, doprawdy, dlaczego tak bardzo rozsierdziło korespondenta „Nowej Reformy“. Czyżby odezwały się nożyce na stole?

* * *

Kościuszkowskim nazwaćby należało tydzień ubiegły. Za inicyatywą stowarzyszeń sokolich, od lat kilku o tej porze w Galicyi bywa uroczyście obchodzona rocznica skonu bohatera z pod Racławic, przypominając społeczeństwu owe czasy, kiedy po raz pierwszy za sprawę Ojczyzny ujrzano w walce lud siermiężny. Dzisiaj idee Kościuszki wcieliły się już w społeczeństwo i na wszystkich polach pracy publicznej spostrzegamy coraz więcej owych siermięg; a — co głównie pocieszające — to, że ongi trzeba było lud wciągać do owej pracy, gdy dzisiaj sam on już ma poczucie obowiązku narodowego i przyświeca dobrym przykładem niejednemu z tych, których przodkowie stawali na czele służby dla Ojczyzny. Przykładem szlachta wielkopolska, dla której życzyćby należało takiego czarodzieja, jakim był Kościuszko dla ludu — ale włościańskiego Kościuszki, coby zagrzał i do pracy pociągnął — panów.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wyborczy komitet centralny.

16 b. m. odbył się zjazd członków i delegatów wyborczego komitetu centralnego, a uczestniczyło w nim 124 delegatów. Bardzo wiele, bo podobno 27 miast odmówiło wysłania swych przedstawicieli, co jest wymowną oznaką, że komitet centralny potrzebuje jeszcze bardzo radykalnej reformy, jeżeli ma stać się wyrazem woli całego kraju.

Prezes komitetu, dr. Skałkowski, wyraził ubolewanie z powodu uchylenia się wielu komitetów lokalnych od obesłania zjazdu, a włościanin Smagora domagał się, ażeby do komitetu wprowadzono więcej włościan, którzy w kraju stanowią przewagę. Włościanin Bardel żądał znowu zmiany statutu Koła i utyskiwał nad nieużytecznością działalności Koła dla kraju. Delegat powiatu tarnowskisgo, włościanin Włodek, oświadczył, że przybył jedynie w charakterze świadka, albowiem komitetu centralnego nie uznaje.

Następnie zabrał głos hr. Wojciech Dzieduszycki, a to w obronie polityki Koła polskiego w Wiedniu. Zdaniem mówcy, Koło uczyniło, co mogło... Hr. Dzieduszycki w obecnem przesileniu wewnętrznem w Galicyi upatruje proces polityczny, z którego wyjdzie wielkie stronnictwo narodowe. Jedną przy tem wszystkiem słuszną wymówkę uczynił hr. Wojciech Kołu, a to: że zamało dbało o to, iżby w ministerstwach więcej było Polaków na wyższych posadach.

Drugim mówcą był p. August Sokołowski, który znowu wygłosił mowę pochwalną na cześć komitetu centralnego, jako organizacyi nawskroś narodowej.

Zjazd wybrał dziesięciu członków: Antoniego hr. Wodzickiego, Jana Datę, księdza Walczyńskiego, dra Barbackiego, Stanisława Stadnickiego, Albina Rayskiego, Semiona Padjaka, Kazimierza Cieńskiego, dra St. Schätzla i Feliksa Gorayskiego, poczem bezzwłocznie nowo utworzony komitet kooptował redaktorów trzech organów dotychczasowego Koła polskiego: „Czasu“, „Narodówki“ i „Dziennika Polskiego“, Byka, Samuela Horowitza i Leona Horowitza; księdza Lenkiewicza, Wł. Kraińskiego, Antoniego Teodorowicza i adwokata Karola Pieniążka.

Wobec tego należą do komitetu centralnego: Dzieduszycki, Jędrzejowicz, Męciński, Potocki, Kozłowski, Cieński, Górka, Moysa, Paszkowski, Romer, Skałkowski, Wodzicki, Stadnicki, Cieński nr. 2, Gorayski, Chyliński, Vogel, Kraiński, Teodorowicz, Jawornicki, Pieniążek, Merunowicz, Rayski. Schätzel, Sokołowski, Michalski, Jabłoński, Barbacki, Ostaszewski-Barański, Byk i oba Horowitze, ks. Nowak, ks. Walczyński, ks. Lenkiewicz i Leonard Wiśniewski.

Wczoraj po południu odbyło się znowu plenarne posiedzenie komitetu, celem zatwierdzenia kandydatur.

Język czeski w sądownictwie.

Gabinet austryacki uczynił krok, który wskazuje na pewne zbliżenie się do Czechów, kto wie, ażali nie za cenę zaniechania przez nich obstrukcyi. Onegdaj przyniosły „Narodni Listy“ wiadomość, że ministerstwo sprawiedliwości wezwało wyższy sąd krajowy w Pradze, aby sądy w Czechach urzędowały tak, jak przed zniesieniem rozporządzeń językowych przez hr. Clary'ego.

W dalszym ciągu ten dziennik donosi, że sąd wyższy krajowy przesłał odnośne rozporządzenia ministerstwa sądom podwładnym, które przeważnie zadowolniły się podaniem do wiadomości swych urzędników tego rozporządzenia.

Stary i nowy kanclerz.

Na pytanie, zadawane od dłuższego czasu przez prasę niemiecką wszelkich odcieni: *wo ist die Katze?* nadeszła odpowiedź. Do Homburga przybyli: stary kanclerz Hohenlohe, sekretarz stanu dla spraw zewnętrznych rzeszy, uważany w niektórych sferach politycznych w Niemczech za młodego Tytana, hr. Bülow, i reżyser wszelkich zmian ministeryalnych, naczelnik kancelaryi cywilnej cesarza, radca Lucanus. Wiadomo, że ilekroć radca Lucanus wydobędzie się z poza kulis politycznych na proscenium, potrzeba oglądać się za kołyską, lub za trumną ministeryalną.

tym razem nie odbyło się bez tych kresowych symbolów znikomości życia ludzkiego; książę Hohenlohe, trzeci z kolei kanclerz rzeszy niemieckiej, syt sławy i pracy, wręczył cesarzowi dawno przygotowywane podanie się do dymisyi, a cesarz, uznając wiek podeszły kanclerza, przyjął ją zapewne wśród licznych oznak poszanowania zasług ustępującego z widowni męża stanu.

Zasługi Hohenlohego dla Niemiec były niezaprzeczone, aczkolwiek nie w świeższym okresie działalności starego księcia. Sięgają one jeszcze roku 1870, kiedy książę Hohenlohe nie bez wysiłku pokonać musiał południowo-niemieckie separatyzmy, zżymające się instynktownie przeciw nieuniknionej hegenomii Prus w przyszłej rzeszy niemieckiej. Książę Hohenlohe, ówczesny prezes gabinetu bawarskiego, przekonał króla Ludwika bawarskiego i zaprowadził go aż do Wersalu, kędy król pruski nałożył koronę na skroń Hehenzollernów.

Rządy kanclerskie księcia miały charakter staroliberalny. Był on w liberalizmie swoim bardzo oględny i bardzo jednostronny, ale na to ciasne pojęcie liberalizmu, na jakie zdobyć się mogą Niemcy, stać go przecież było. Przeciwstawiał on go częstokroć krzyżackiemu wstecznictwu mężów stanu, wyszłych ze szkoły *par excelence* pruskiej. Za młodu oddychał przecie atmosferą wolnomyślniejszego południa. Służba pruska niewiele zresztą z tych pierwiastków wolnomyślniejszych przechowała w piersiach Hohenlohego. Był on tak typowym przeciwnikiem wszelkiej sprawiedliwości międzynarodowej tak namaszczonym i bezwzględnym germanizatorem wszystkich żywiołów innoplemiennych, jak każdy przeciętny Miquel, Studt, albo Reinbaben pruski.

Ustąpienie księcia Hohenlohego z widowni czynów politycznych nie wywoła zresztą silniejszego echa ani efektu; oddawna on już wypoczywał wedle praw wieku swego, a nawą państwa sterował w zakresie stosunków zewnętrznych hr. Bülow, wewnętrznych zbieg z obozu liberalnego Miquel.

Cesarz Wilhelm natychmiast zamianował kanclerzem Rzeszy hr. Bernarda Bülowa. Dla sprawy polityki Niemiec zmiana ta nie posiada wprawdzie większego znaczenia, albowiem właściwym kanclerzem jest sam cesarz Wilhelm; w każdym razie jednak osoba nowego doradcy zasługuje na uwagę.

Nowy kanclerz niemiecki, Bernard hr. Bülow, jest człowiekiem w stosunku do zdobytego urzędu bardzo młodym. Urodzony dnia 9 maja 1849 r. w Klein-Flottbeck (Szlezwig-Holsztyn), uczył się w Lozannie, Lipsku i Berlinie prawa, wstąpił r. 1870 do pułku huzarów królewskich, otrzymawszy jednak stopień oficerski, powrócił do służby prawniczej, a następnie poświęcił się dyplomacyi.

W r. 1876 był przydzielony do poselstwa niemieckiego w Rzymie, następnie pracował w urzędzie dla spraw zewnętrznych, 1883 r. został radcą poselstwa w Petersburgu, 1888 r. posłem w Bukareszcie, 1893 r. posłem przy Kwirynale, 1897 r. (w październiku) sekretarzem stanu dla spraw zewnętrznych rzeszy niemieckiej (na miejsce barona Marschalla).

W d. 22. czerwca 1899 r. za umowę z Hiszpanią o odstąpienie wysp marjańskich i karolińskich, otrzymał tytuł hrabiowski. Jest ożeniony z księżniczką Camporeale, kuzynką pamiętnego dyplomaty włoskiego Minghettiego.

Z Chin.

Nareszcie (jeżeli jutro nie nadejdzie zaprzeczenie!) rozpoczęły się onegdaj układy z Chinami o pokój. Stało się to skutkiem energicznej noty rządu francuskiego, stwierdzającej, że wszystkie mocarstwa zgodziły się już na projekt układów, przedstawiony przez Francyę. Poseł chiński w Londynie zapewnia, że mocarstwa zwróciły Chinom pałac Czungliamenu w Pekinie, gdzie odbywać się będą układy o pokój.

Rozpoczęcie tych układów powinnoby oddziałać uspokajająco na powstańców chińskich, którzy dotychczas w braku tych układów widzieli słabość dworu chińskiego i znowu poczęli gromadzić się w większych oddziałach. Na północ od Pekinu stoi silna armia bokserów, a wzrasta również powstanie w obrębie terytoryum, należącego do angielskiego półwyspu Kaulung. Powstańcy dążą ku wschodniej rzece. Admirał Ho zwleka z ruszeniem przeciwko nim pomimo, że ma przy sobie 4.000 żołnierzy. Oddział wojska angielskiego stanął obozem na granicy terytoryum.

Od chwili przeniesienia dworu chińskiego do Sianfu, stosunki mocarstw z cesarzem znacznie się poprawiły. Natomiast nie wiadomo, gdzie przebywa cesarzowa, która na własną rękę wydała właśnie edykt, składający z urzędu wicekróla Nankinu za sprzyjanie Europejczykom.

Sobór ekumeniczny.

Sędziwy Leon XIII. zadziwia doprawdy swą pracowitością i nieustannym udziałem w pracach Kościoła. Obecnie wykończył zapowiadaną oddawna encyklikę o socyalnej demokracyi, jednak — jak donoszą z Rzymu — nie zamierza ogłaszać jej obecnie, albowiem postanowił zwołać wpierw sobór ekumeniczny dla dokończenia robót, przerwanych na soborze z przed 30-tu laty.

Zatarg rumuńsko-bułgarski.

Rozdmuchany do wielkiego znaczenia zatarg Rumunii z Bułgaryą o ukaranie spiskowców, którzy grasowali byli w Rumunii, skończy się prawdopodobnie pokojowo, dzięki naciskowi mocarstw, które go sobie nie życzą w tej chwili. Rumuński minister spraw zewnętrznych, konferował z hr. Gołuchowskim w Wiedniu i z hr. Bülowem w Berlinie, celem pokojowego załatwienia nieporozumień z Bułgaryą, na którą znowu wpływa uspokajająco rząd rosyjski. Jeżeli Bułgarya nie ukarze agitatorów i sprawców zamachów w Rumunii, natenczas Rumunia grozi wydaleniem ze swych granic 500.000 zamieszkujących tam Bułgarów. Pogłoski o zamiarze zrzeczenia się praw do tronu przez następcę tronu rumuńskiego, okazały się być zmyśleniem dzienników, niechętnych Rumunii.

2 R.

Z Wielkopolski.

Poznań, 17. października.

Wielce znamienna, bo wybornie illustrująca nasze stosunki polemika dziennikarska toczyła się niedawno na łamach naszych pism politycznych — w sprawie polskich gimnazyastów.

Poznański tygodnik „Praca“, trzymający się nietylko w zasadzie, ale i w szczegółach, radykalnej polityki przeciw Prusakom, wykazał niedawno w szeregu artykułów, że nasza gimnazyalna młodzież, pozostawiona przez społeczeństwo bez wszelkiej opieki i pomocy, w zdobywaniu wykształcenia narodowego, znajduje się pod najcięższym może obuchem germanizacyjnym, bo pedagodzy gimnazyalni tak kierują jej wykształceniem, aby wyplenić wszelkie „polskie naleciałości“. Rugowanie języka polskiego ze szkoły i z prywatnych stosunków, przeprowadzanie rewizyj domowych w razie podejrzenia, że uczeń posiada książki polskie, wciskanie zohydzającej naszą przeszłość lektury z biblioteki gimnazyalnej, a przytem ospałość, czy obojętność rodziców polskich, którym chodzi tylko o to, aby ich dziecko najłatwiej skończyło nauki, — to wszystko na szeregu przykładów z życia, ze wskazaniem z nazwiska nauczycieli-germanizatorów i miast, w których oni rozwijają swą działalność, zostało opublikowane w „Pracy“.

Nasi polityczni tchórze (a nie brak tu takich, bo polityka ugody i niedrażnienia rządu wżarła się w krew i ciało) zaczęli biadać: Otóż „Praca“ popsuła uroczą idyllę, jaka trwała w spokoju pomiędzy uczniami i nauczycielami! Społeczeństwo miało spokój, pedagogom nie przeszkadzano w ich zajęciach, pocóż ich więc drażnić? Lepiej zaniechać tej „drażliwej“ sprawy niech się tam młodzież germanizuje, to przecież po skończeniu gimnazyów może się zawsze spolszczyć.

I zaczęto wołać: Nie drażnijcie pedagogów, bo mścić się będą. Lepiej żyć z nimi w zgodzie.

I co najdziwniejsza, to że „Orędownik“, organ ruchu ludowego i najzaciętszy wróg ugody, nie spostrzegł się, że tym razem propaguje właśnie najszkodliwszą ugodę, że zaprzedaje młodzież germanizatorom, twierdząc, iż o tej „drażliwej“ sprawie nie należało pisać.

Taka to u nas panuje jeszcze niekonsekwencya polityczna. Huzia! na ugodę z rządem, wołają wszyscy gdy chodzi o jakieś głosowanie za marynarką, lub powiększenie wojska. Ale gdy chodzi o sprawę młodzieży polskiej, która jest narodu przyszłością, tam rzekomo najtrzeźwiejsi politycy i wytrawni publicyści wołają: Nie drażnić władz. Niech robią z gimnazyastami, co im się podoba! Nie tykajcie tej drażliwej sprawy!

Tymczasem dla nas nie powinno być żadnych mniej, lub więcej drażliwych spraw. Jasne, zrozumiałe i otwarte postawienie kwestyi nie może szkodzić żadnemu społeczeństwu, które tak, jak nasze, chce iść pod hasłem samopomocy.

Wybory w okręgu babimojsko-międzyrzeckim, które się odbędą 14. listopada o mandat, opróżniony po śmierci dotychczasowego posła Niemca, w wysokim stopniu przyciągają uwagę publiczną.

W okręgu tym istnieje kartel wyborczy pomiędzy Polakami, a niemieckimi katolikami, że się będą wzajemnie popierać. Okaże się teraz przeto, czy i w jakiej mierze można liczyć na pomoc centrowców. Pomoc ta jest bardzo wątpliwą, ponieważ pomiędzy niemieckimi katolikami (t. zw. centrowcami) w prowincyi poznańskiej, nurtuje podsycany przez rząd, prąd antypolski, dążący do stworzenia z kościoła instytucyi germanizacyjnej. Charakterystycznem też jest, że ze strony nieoficyalnie katolickiej została postawioną kandydatura proboszcza Krzesińskiego, jednego z najczynniejszych popieraczy germanizacyi, — księdza, który postępowaniem swem zupełnie zadaje kłam swemu pochodzeniu polskiemu.

Azatem wybory w okręgu międzyrzecko-babimojskim mają i pod tym względem ogólniejsze znaczenie, że się okaże o ile wzburzenie umysłów, wywołane ostatniemi reskryptami Studta, przyczyniło się do obudzenia obojętnych.

Ospałość polskiego komitetu wyborczego w tym okręgu stała się niemal przysłowiową. I dziś, na kilka tygodni przed wyborami, nie słychać jeszcze nic o jakichś zebraniach polskich wyborców. Było podobno poufne zgromadzenie, na którem postawiono ze strony polskiej, jako kandydata do Sejmu, adwokata Wolińskiego z Poznania, zaś do parlamentu ks. Gładysza z Wolsztyna. I to szczęście, że przynajmniej zdecydowano się postawić własnych kandydatów.

Potrzeba będzie wytężenia całej energii i umiejętnej organizacyi, jeśli Polacy mają zwyciężyć. Niemcy dotychczas posługiwali się przy wyborach w tamtych stronach nietylko osobistą presyą, wywieraną przez chlebodawców, ale w dominiach niemieckich, których tam jest sporo, zaopatrują polski lud roboczy w karteczki wyborcze na kandydatów niemieckich i pod eskortą ekonomów i rządców prowadzą wyborców, jak bydło. Polski komitet wyborczy, złożony dotychczas przeważnie ze szlachty okolicznej i księży, okazał się niezmiernie nieudolny i koniecznie powinien ożywić się przez przyjęcie sił nowych, świeżych, z warstw ludowych, bo inaczej doczekać się może tego, że poza jego plecami wyborcy polscy na własną rękę zaczną się organizować w celu przeprowadzenia wyborów.

Z okazyi wyborów babimojsko-międzyrzeckich pokazuje się znowu wymownie, jak i z tylu innych wydarzeń ostatnich czasów, że w politycznych stosunkach społeczeństwa polskiego następuje zwrot, a dogmaty dawnej polityki jeden po drugim padają.

Pada i w proch się rozsypuje tradycyjna przyjaźń z centrowcami, która była jednym z kardynalnych dogmatów dawnej polityki.

Zmienia się i zapatrywanie na zadanie komitetów wyborczych, a dawna pobłażliwość wobec nich ustępuje miejsca krytycznemu rozwojowi ich działalności; owocem tego krytycyzmu jest poczucie, że trzeba przyciągnąć nowe siły i starać się z niemi podzielić.

Pierwszy z tych objawów świadczy, że społeczeństwo polskie chce polegać tylko na samem sobie i zrzeka się sojuszów z obcymi, — drugi zaś, że źródła siły chce się doczekiwać w szerokich warstwach ludu. Oby najbliższe wybory dowiodły, że to właściwa droga rozwoju!

Władysław Kozicki.

W pomroce prometejskich cieni.

(Z powodu „LUDZI BEZDOMNYCH“ Żeromskiego.)

„Ludzie bezdomni“... Tytuł ten dwojakie znajduje w powieści uzasadnienie. Najpierw oznacza tych wszystkich, którzy w istocie dachu nad głową nie mają i w pocie czoła pracują, by z trudem wieść swoję nędzną egzystencyę. — „Bezdomni“, to przedewszystkiem ci, których mieszkania noszą na sobie cechę tymczasowości: to wędrowcy, którzy w tych izbach hotelowych ukrywają przed zimnem i deszczem głowę strudzoną, ale ją lada chwila opuszczają, idąc dalej — to ludzie zgłupiali od walki z przyrodą, która im nic nie daje, prócz kromki chleba i łyka wódki, przerzucani z miejsca na miejsce, wegetujący z dnia na dzień.

Ale „bezdomnym“ jest i ten człowiek, który wielkiej idei poświęci swe siły i odda się jej cały i bez zastrzeżeń. Jeśli się jej nie sprzeniewierzy, jeśli w jej imię będzie szedł i burzył przestarzałe przesądy — nie spocznie nigdy, nie zazna szczęścia przy rodzinnem ognisku, ale zawsze będzie, jak pielgrzym, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu. „Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał“ — tak mówi Judym, gdy robi ciężką ofiarę ze swej miłości.

To podwójne pojęcie „bezdomności“, a zwłaszcza występująca w niem idea pracy dla dobra ludzkości sprawiła, że ostatni utwór Żeromskiego uznano za powieść społeczną. Inde ira! Na wzdętych sztucznym wiatrem falach strumienia (ale tego warszawskiego!) zaśnieżyły się piany parnasowego oburzenia. Posypały się kopnięcia nogą w stronę „bezdomnego tłumu“, który rozchwytywał książkę i śmiał w niej widzieć jakąś piękność. Bo i jakie! Gdzież tu tajemnicze poszumy nieśmiertelnych dębów Walhalli? Gdzież tu półbogowie, którzy w osrebrzone księżycem noce budzili uśpione nimfy jeziora pieszczotliwym szelestem wioseł? Co mi to za artysta, który do dobranej galeryi umierających studentów, uwiedzionych szwaczek i znudzonych arystokratów, dodaje śmiesznego doktora, co wygłasza naiwne odczyty i chce osuszać cuchnące stawy, a gdy mu się to nie wiedzie, dostaje napadów szewskiej pasyi! I tak płynęły dalej przepojone żółcią nurty, bo kodeks warszawskiego estety nie widzi w rzeczywistości, w społecznem życiu, w cierpieniach szerokich mas — przedmiotu, godnego pióra artysty; jak gdyby tylko oderwane od otoczenia i przeniesione poza czas i przestrzeń indywiduum zawierało w sobie pierwiastki piękna; jak gdyby tylko wypadki, dokonywujące się w izolowanej od społeczeństwa duszy ludzkiej i to nie tej, z którą przywykliśmy współczuć w życiu codziennem, ale spotęgowanej do znaczenia jakiejś metafizycznej, kosmicznej siły — mogły zwrócić na siebie uwagę poety! — A jednak już się nam uprzykrzyły te mikroskopijne bole, te lilipucie rozpacze, które chorym mózgom



PIOTR STACHIEWICZ

PRZED BITWĄ.

i przeciągniętym nerwom zasłaniają cały świat kirem. Już nam dość tego wiecznego kwilenia bezustannie i wyłącznie na jednej strunie miłości; upojenia erotycznym szałem — nagie, białe i różowe ciała — wściekłe instynkty krwi — wycia w uniwersum zawiedzionego i niezaspokojonego w swych żądzach samca, albo wszczepienie się wszystkiemi siłami ducha w jedno uczucie — rozbicie — melancholia — nirwana — nienawiść tłumu — a potem pigmejska tytaniczność i przemawiająca ze szczudeł megalomania: to wszystko zaczęło się tak strasznie monotonnie w kółko powtarzać, że w końcu stało się banalnem i poprostu nudnem. Dlatego wdzięczni jesteśmy artyście, że dał nam całego, prawdziwego człowieka, człowieka z krwi i kości, wyrastającego z ziemi i trzymającego się oburącz jej macierzystego łona, a nie neurastenicznego kalekę, który cierpi na dziwny daltonizm seksualizmu, albo na opętanie miłością. — Oddychamy szeroko, pełną piersią, po raz pierwszy oddawna, otwieramy na oścież okna, aby odświeżyć zatęchłą atmosferę, sięgamy wzrokiem daleko i widzimy wszystko, wznosimy się ponad marne, egoistyczne cierpienia i zdobywamy się na miłosierdzie dla innych. A na tem tle rozległych widnokręgów witamy z radością Erosa, który przychodzi nie, jako niszczyciel, co serce bijące wydziera i mózgi na strzępy szarpie, ale, jako bóg młody i pełny życia, pod którego tchnieniem pierś wzbiera nowemi zbawczemi siłami, a krew tętniejąca potężnie w żyłach, każe dłoniom szukać świętej, rozrodczej, wskrzeszającej pracy.

I wdzięczni jesteśmy Żeromskiemu za to, że powieść swą oparł na żywotnym i siłę rozwojową w głębi kryjącym podkładzie społecznym, że nam okazał przez pryzmat głębokiego współczucia proletaryat wolnych niewolników naszego wieku. Bo tylko garstka zaślepionych maniaków może tematy społeczne i wogóle powszedniego życia dotyczące, wykluczać z zakresu sztuki, zapominając, że przedmiot sam przez się, byleby tylko zawierał dostateczną pełnię treści, o doskonałości, albo niedoskonałości dzieła, nie stanowi w gruncie rzeczy, a rozstrzyga o tem jedynie sposób uchwycenia tematu, oświetlenia, oszlifowania, okraszenia i odpowiedniego rozłożenia, czyli jednem słowem: talent autora. Dziś już bardzo zdecydowani zwolennicy nowych prądów czują, widzą i drugim wskazują, że po miastach, skutkiem nadzwyczajnego wzrostu przemysłu, namnożenia się fabryk i skoncentrowania ogromnej masy robotników, których nieopatrzna hyperprodukcya i wynikające z niej częste przesilenia, rzucają od czasu do czasu na pastwę nędzy i głodu — że skutkiem całego tego gwałtownego, a nierównego pulsowania tętna społecznej pracy — wyrasta wielki, groźny, wspaniały dramat, ścierają się z pierwotną siłą sprzeczne, a olbrzymie namiętności i żądze, występują nowe, wybitne typy i potężne, wybuchową siłą miłości i nienawiści płonące indywidua że, jak mówi Serväes, „wytwarza się w naszych czasach wiernie ducha epoki malująca, epopea współczesna, która czeka tylko na prawdziwego twórcę, aby ją napisał i podniósł do godności sztuki“.

I trafnie przeczuwał przyszłość Krasiński, kiedy uspakajał kogoś (prawdopodobnie Gaszyńskiego), troskającego się o losy poezyi w wieku „pary i elektryczności“ — zapewnieniem, że ta nieśmiertelna krynica piękna trwać będzie wiecznie i ponad huczące i warczące kotły, wśród dymu i sadzy koła maszyn, rozpinać będzie tęcze swych barw i rozsiewać wonie swych kwiatów.

Jednak „ludzie bezdomni“ nie są nawet urywkowym rapsodem tej, mającej kiedyś powstać epopei przemysłu. — Bo czy można ostatni utwór Żeromskiego nazwać naprawdę powieścią społeczną, w tem znaczeniu, że przedstawia objawy kwestyi socyalnej; a tak właśnie ten wyraz „społecznej“ w tym wypadku rozumiano? Bezwarunkowo — nie! Społeczną nazwałbym powieść, w którejby autor wprowadził nas w bezpośrednie zetknięcie z klasą robotniczą, w którejby odmalował nietylko jej nędzę i upośledzenie, ale i uczucia, poglądy, pragnienia i dążenia do wydobycia się z niewoli. W powieści społecznej, musielibyśmy widzieć reprezentantów. A z drugiej strony, musiałyby się zarysować postacie ze świata kapitalistów i z tak zwanej inteligencyi: a więc zwyczajny, wstrętny wyzyskiwacz, który nie może pojąć, jakby mogło istnieć coś dobrego na świecie, coby nie służyło jego własnym interesom — i człowiek starej daty z tradycyami pańszczyźnianemi we krwi, który czuje, że nie wszystko idzie po bożemu, ale myśli, że światby się do góry nogami przewrócił, gdyby się coś reformować zaczęło — i idealista bez siły woli i energii czynu, który rozpacza i zżyma się na niesprawiedliwość i oczywistą krzywdę, ale niema sił do walki z obrońcami stanu posiadania — i ten, który rzeczywiście coś robi — i ten, który tylko rezonuje.

Tego wszystkiego w „Ludziach bezdomnych“ niema — i dlatego nie można tej powieści uważać za utwór o charakterze społecznym w rodzaju n. p. „Tkaczy“ Hauptmanna. Przecież tu robotnicy, nędzarze i cały proletaryat nie bierze czynnego udziału w akcyi, ale występuje tylko, jako tło, na którem uwypuklają się losy i cierpienia bohaterów, jako obraz malowany tak dobrze i wzruszająco słowami — jak dajmy na to „Rodzina rybacka“ Louis de Chavannes'a farbami. Niema tu nawet wcale przedstawiciela tych olbrzymich, upośledzonych mas, bo Wiktor Judym jest wprawdzie „bezdomnym“, ale nieszczęścia jego nie posiadają znaczenia ogólnego, bo on ma się względnie dobrze, a pada tylko ofiarą swego niespokojnego ducha, który mu każe ustawicznie szukać czegoś lepszego, tej żądzy robienia majątku, pod której wpływem nasi bogatsi chłopi emigrują do Ameryki, zbałamuceni nadzieją, że tam będą garściami zbierali złoto i srebro. A jeśli jest tu nawet jakaś przyczyna, mająca swe źródło w niezdrowych powszechnie i stale stosunkach socyalnych, np. uczestnictwo w jakimś strajku — to jednak autor okrywa ją milczeniem (w istocie bardzo zdumiewającem) tak, że na tem zgoła opierać się nie możemy. Kłopoty zaś Judymowej w czasie podróży do Szwajcaryi — choć może zdarzają się niejednemu wychodźcy — również nie noszą na sobie cech jakiejś zasadniczej wady w urządzeniach społecznych, ale są czysto przypadkowej natury. Czyż wreszcie w powieści społecznej mogłaby tyle miejsca zajmować subtelna analiza dusz ludzkich, wyświetlanie właściwości psychicznych, zupełnie indywidualnych, nie zaczepionych o żadne ogniwo społecznego życia, odzwierciedlanie w bardzo szerokich ramach uczuć ściśle osobistych, np. tęsknoty za utraconemi stronami rodzinnemi?

(Ciąg dalszy nastąpi).

BÖRRIES von MÜNCHHAUSEN.

Paź królowej.

Jestem paziem na burgundzkim dworze,
I noszę suknie królowej;
Śmiechem wybuchły usta jej hoże
Dziś na sali marmurowej.
„Paziu — rzecze — ty do ust ukradkiem
Rąbek tuliłeś korónek,
Na jedwabiu zagłębieniu gładkiem
Czułam, żeś złożył całunek!“

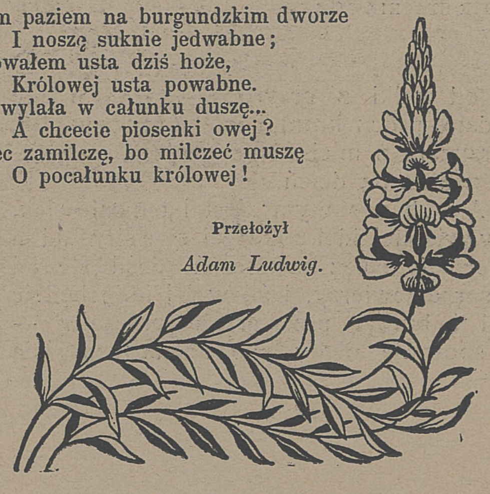
Upadłem, wyrzec nie mogąc słowa,
A trwoga oddech mi dławi;
Tymczasem ręką młoda królowa
Kruczym mym włosem się bawi:
„Zaszumiał łan i koń zaczął zżymać...
Za karę na polowanie
Pojedziesz ze mną i w ręku trzymać
Sokoła będziesz, mój panie!

Więc w cwał pędzimy od świty w dali.
W krwi gra mi śmiech jej lubieżny,
U boku tańczy mój miecz ze stali,
Podemną tańczy koń mężny.
Gdzie smukłą jodłę zwaliła burza,
Droga się skończy polowa —
Królowa błędnie oczy przymruża,
I szepce do mnie te słowa:

„Mnie król Kastylii pojął za żonę
I z ślubnym oddał pierścieniem
Kraj swoich ojców, złotą koronę:
Sercem się dzieli i mieniem.
Chociaż klejnoty świecą w koronie
I błyszczą zamków podwoje —
O, stokroć jaśniej twój uśmiech płonie
I oko błyszczy się twoje!“

Jestem paziem na burgundzkim dworze
I noszę suknie jedwabne;
Ucałowałem usta dziś hoże,
Królowej usta powabne.
Całą wylała w całunku duszę...
A chcecie piosenki owej?
Koniec zamilczę, bo milczeć muszę
O pocałunku królowej!

Przełożył
Adam Ludwig.



Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

I.

Sprzedawczyk.

Pan Danielewski, właściciel pięknej wsi rycerskiej Załęże, położonej w żyznym pasie Księstwa, w pobliżu powiatowego miasta Siekierzyna, oddawna nosił się z zamiarem pozbycia się wsi i przeniesienia się do miasta. Nikt jednak nie przypuszczał, że pan Danielewski, który tak chętnie słyszał, gdy mówiono, że w rodzie Danielewskich żyją najlepsze tradycye ojczyste, zdolny byłby sprzedać Załęże kolonizacyi. Wszak był jednym z tych, którzy na wszystkich zebraniach ludowych, na wszystkich wiecach i zjazdach zachwycali słuchaczów przekonywującą siłą patryotycznych haseł; wszak był członkiem siekierzyńskiego komitetu wyborczego, honorowym członkiem i protektorem kilku towarzystw przemysłowych, czeladzi katolickiej i pomocników handlowych, prezesem rady nadzorczej banku ludowego w Siekierzynie, a wreszcie prezesem Sokoła; — wszak o mały włos nie został wybrany na posła do sejmu pruskiego, a jeśli przepadł przy wyborach, to tylko dzięki temu, że katolicy niemieccy nie dotrzymali zawartej z Polakami umowy i głosowali zwartą falangą na konserwatywnego Niemca, czystej krwi hakatystę.



Z wystawy sadowniczej we Lwowie.

Więc też gdy się rozeszła wieść o tem, że jacyś delegaci komisyi kolonizacyjnej oglądali Załęże, nie chcieli ludzie dać temu zrazu wiary. Ponieważ jednak w ostatnich czasach kilku obywateli z „najporządniejszych rodzin“ w Księstwie, za pośrednictwem żydków, lub bez pośrednictwa, sprzedało rodzinne majątki kolonizacyi, więc, dla pewności, puszczoną o sprzedaży Załęża pogłoskę powtórzył ktoś w korespondencyi do liberalno-szlachecko-konserwatywnego „Monitora poznańskiego“, który ją umieścił. Wtedy pan Danielewski z najzimniejszą krwią napisał do „Monitora“ energiczne zaprzeczenie, nazywając autora korespondencyi oszczercą, ponieważ „Załęże jest w posiadaniu rodziny Danielewskich i z posiadania tej rodziny nie wyjdzie, dopokąd ona nie wygaśnie“. Redakcyi „Monitora“ zaś dodał w ostrej formie admonicyę, że śmiała podobną pogłoskę ogłosić. Wyraził przytem przypuszczenie, że „Monitor“ chyba już przesiąkł zasadami liberalizmu i socyalizmu, skoro — będąc organem ziemiaństwa — odważył się posądzić jednego z Danielewskich o czyn tak niski. „Widocznie — tak kończył swój list szanowny właściciel Załęża — widocznie już duch niewiary i socyalizmu przedostał się nawet do naszych organów, jeśli widzimy brak ufności nawet do tych ludzi, którzy dotychczas uważani byli za reprezentantów tradycyi, godnych najwyższego szacunku i nieskalanych żadnym brudnym czynem“. A dalej znajdował się taki dopisek: „Postaram się, aby mój szwagier, który jest członkiem rady nadzorczej „Monitora poznańskiego“ poinformowany był o sposobie myślenia jego redaktorów“.



Z wystawy sadowniczej we Lwowie.

Dr. Głembiński, naczelny redaktor „Monitora“, po otrzymaniu tego listu, zamyślił się głęboko. O wszystko bowiem go już posądzano — ale o socyalizm — nigdy! Pokonawszy więc niechęć, wywołaną niemiłą formą listu pana Danielewskiego, dał natychmiast w swym organie zaprzeczenie pogłoski o sprzedaży Załęża i w wyrazach pełnych szacunku i poważania oświadczył w imieniu całego społeczeństwa, że pan Danielewski jest i był wzorem „cnót obywatelskich i reprezentantem tych godnych tradycyj, na których opiera się zbożny i rządny byt społeczeństw, niepodminowanych przewrotowemi ideami.“

Zaprzeczenie to umieścił Dr. Głembiński — prócz z osobistych — także z taktycznych względów; jeśli bowiem przez zamieszczenie poprzedniej pogłoski nadawał „Monitorowi“ cechę liberalną, cechę pisma krytykującego ludzi w imię idei, bez różnicy ich stanowiska społecznego, to przez zamieszczenie zaprzeczenia nadawał pismu cechę konserwatywną. „Obecny przejściowy stan społeczeństwa — mówił nieraz Dr. Głembiński — wymaga utrzymywania ciągłej równowagi pomiędzy krańcowemi poglądami“ — a taktyka, zaznaczona powyżej odpowiadała, zdaniem jego, tym potrzebom chwili.

Pan Danielewski zaś, jeśli zaprzeczył pogłosce o sprzedaży Załęża, to też nie

bez powodu to zrobił. Czuł on, że można jeszcze podbić w górę ofertę komisyi kolonizacyjnej i wiedział, że oświadczenie jego, wywrze w dyrekcyi kolonizacyi piorunujące wrażenie.

Jakoż się nie omylił wcale. Zaledwie minął jeden dzień od owego ogłoszenia, a delegat komisyi zjawił się w Załężu i gwałtownie chciał się widzieć z Danielewskim. Szanowny reprezentant godnych czci tradycyj spodziewał się tego jednak i zgóry zapowiedział służbie, żeby powiedziano, iż wyjechał na dni parę. Ta wiadomość zmartwiła delegata komisyi. Po namyśle zdecydował się wreszcie zostawić Danielewskiemu na piśmie propozycyę podwyższenia ceny kupna o dziesięć tysięcy marek, stawiając jedynie za warunek, aby natychmiast po powrocie zadepeszował kolonizacyi, że się zgadza. Danielewski po paru dniach nic nie zadepeszował, aż wreszcie w odpowiedzi na usilne domaganie się o decyzyę, oddepeszował, że się rozmyśli. Ubocznie zaś rozpuścił pogłoskę, że sprzedaje wieś znanemu magnatowi polskiemu, panu Miłosławskiemu, za cenę o dwadzieścia tysięcy wyższą od ofiarowanej przez kolonizacyę. Wtedy kolonizacya postąpiła ostatecznie o czterdzieści tysięcy, przepłacając Załęże o jakie sześćdziesiąt tysięcy, ale Załęże dostała.

Po żniwach, jesienną porą, sporządzono punktacyę ostateczną, a nazajutrz po dojściu do ostatecznego porozumienia, rejent siekierzyński sporządził formalny akt sprzedaży. Załęże przeszło w ręce kolonizacyi.

Gdy wieść o tem doszła do gazet polskich, wszczął się harmider straszny z powodu kolonizatorów i sprzedawczyków, właśnie bowiem brakowało tematu do artykułów: na sprawę obieżysasów i wychodźtwa wogóle była nie pora, na hakatystach spisano sobie palce, nędza galicyjska i opisy defraudacyj tamtejszych nikogo już nie przyciągały, roztrząsanie zaś nader aktualnej sprawy stosunku rządu pruskiego do duchowieństwa i udziału tegoż w politycznem życiu było za drażliwe. — Nieszczęśliwy Danielewski zostawał więc codziennie żywcem obdzierany ze skóry na łamach dzienników wielkopolskich. Ubolewano nad „zwyrodniałym potomkiem zacnej rodziny“, wyzywano od „sprzedawczyków“, podziwiano czelność i perfidyę w jego postępowaniu, wzywano do energicznego postępowania z podobnemi indywiduami.

Ostatnia ta uwaga skłoniła jednego z członków towarzystwa, którego „sprzedawczyk“ był honorowym członkiem, do rozpoczęcia dyskusyi, co robić z takim członkiem. Uchwalono, aby napisać do przebywającego właśnie w Berlinie Danielewskiego, że „ponieważ sprzedaż Załęża nie ulega wątpliwości, więc się ją uważa za fakt dokonany; ale towarzystwo musi prosić szan. honorowego członka, aby się publicznie wytłómaczył, co do tej mianowicie zarzucanej mu w pismach perfidyi, oraz ogłoszenia go za zwyrodniałego potomka“.

Pan Danielewski z wielką satysfakcyą napisał na to odpowiedź mniej więcej tej treści: Że ponieważ kolonizacya przepłaciła Załęże przynajmniej o sto tysięcy marek, więc społeczeństwo powinno raczej być mu wdzięczne, że o tyle pieniędzy wzbogacił majątek narodowy. Gdzież tu perfidya? — Co zaś do „zwyrodniałego potomka“ — to zastrzegał się przeciw temu słowu, ponieważ nie można zwyrodniałym nazwać kogoś, kto idzie z postępem czasu i zgodnie z ideą przeważającego dziś powszechnie kapitalizmu, kapitalizuje majątek nieruchomy. Nadmienił w końcu, że księgozbiór swój ofiaruje Towarzystwu Przyjaciół Nauk — i tymi argumentami sprawę na swoją korzyść rozstrzygnął.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

(Ciąg dalszy)

I. GWIAZDY i GRZYBY.

SZKIC ETNOLOGICZNY.

Inny znowu wypadek zdarzył się pastuszkom, którzy, zabrawszy z sobą ziemniaków, rozłożyli ogień pod lasem i dwóch z pomiędzy siebie wysłali na grzyby. Pozostający przy ogniu dokładali tymczasem drzew suchych i szyszek, aby węgli było poddostatkiem. Z lasu przynieśli chłopcy znaczny zapas grzybów. Gdy ziemniaki ogarnęli gorącym popiołem, na węglach z wierzchu ułożyli grzyby, a widocznie pomięszali także Kozary z Kozierożkami, bo z ognia zerwał się cap, z brodą siwą, jak dym, rozrzucił kopytami ognisko, poczem napadł pastuszków i porozpędzał na wszystkie strony. Nie ubódł przecież, ani nie skaleczył nikogo, choć rogi miał rozsochate, jak jeleń, ale nie złote. (Jeżów w Rzeszowskiem).

Znane są jeszcze grzyby B a r w i k i, u ludu ruskiego zwane S i n i a k i. Wyrastają z gęstego mchu, na kręconych pieńkach nieproporcyonalnej grubości do główki, rozkładającej się wygodnie na mchu. Podbicie denka jest kanarkowo żółte, za dotknięciem palca zielenieje, a potem sinieje; wierzchnia część, mięsista, jest pełna (nie gąbczasta) i białej barwy. Powłoka cienka, ma kolor skóry z połyskiem aksamitu.

Niektórzy grzyboznawcy zaliczyli ten gatunek grzybów do jadowitych, lecz lud wiejski spożywa je i są nieszkodliwe.

R y d z (a po rusku R y s z k a), powszechnie jest znany, a przez Mickiewicza określony jako najsmaczniejszy, „czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory, czy zimą“, — bywa ceniony także przez włościan, którzy go jednak nie marynują, jak po dworach nasze gosposie. Chłop rydze piecze na węglach, potem soli i zjada, jako okrasę (omastę) do ziemniaków. Często mu służy zamiast mięsa do chleba suchego. Chętnie też zbiera, aby odnieść do dworu i wziąć zapłatę. Bliżej miast większych przynosi je na targ, jak inne gatunki grzybów.

P i e c z a r k i, dobrze także znane naszym gospodyniom, zatrudniającym się kuchnią. Nazwę wywodzą wieśniacy od słowa „piec“, twierdząc, że twardsze są pieczarki od rydzów, dlatego dłużej trzeba je „opiekać“. Lud ruski daje im nazwę M a k u c h ó w, zapewne dla podobieństwa kształtu z główkami makowemi, którego jednak bez pewnej dozy fantazyi trudno dostrzedz, gdyż pieczarki raczej podobne są do ziemniaków. Dostatniejsi gospodarze tylko sporządzają z nich potrawę, dodając śmietany kwaśnej; zapasu z pieczarek zresztą nie robią.

O barwikach, rydzach i pieczarkach żadnego nie słyszałem podania.

B i ł k i, B i ł y j e, a po polsku B i e l m y — zowie lud gatunek grzybów jadalnych, grubo mięsistych, o chropowatej powierzchni, brudno-białej barwy. Zyskały one prawie wszędzie nazwisko „grzybów żydowskich“. — Przezwiskiem tem gmin daje wyraz wyobrażeniom swoim o charakterze żydów, nieużytych dla chrześcian. Warunkowo tylko można z nich, tj. z tych grzybów, korzyść odnieść. Potrzeba je aż trzy razy sparzyć, bez tego są nie do spożycia, bo gorzkie w smaku, „aż gębę wykręca“. Bajek o innej szkodliwości tych grzybów lud nie opowiada.

Znane są także ludowi wiejskiemu dwa gatunki podgrzybków, którym tradycya, mimo ich niepozornego kształtu, nadała urok niezwykły. Są to P o d b u c z k i (zwane także Borodajki, Ssawki) i P o d p i e ń k i (Podpinki). Nazwę otrzymały od miejsca, gdzie rosną i od mniemanych swoich przymiotów. Podania o nich, pod względem głębokości myśli, najpierwsze mogłyby zająć miejsce.

P o d b u c z k i są jasno bronzowe z wierzchu, nóżki mają oliwkowe, a podgardle dziurkowate, podobne do gąbki suchej; koloru szafranowego. Rosną najgęściej na zrębach, gdzie były lasy bukowe.

P o d p i e ń k i, jesienne grzybki, gromadnie w wielkich kupkach się krzewią przy pniakach drzew ściętych, począwszy od dęba aż do wierzby; kolor mają ciemno popielaty, lub tabaczkowy, wierzchnia część znaczona jest czarną plamką w samym środku denka, osadzonego na łodyżce cienkiej. Jest to jedyny gatunek grzybów, które wieśniaczki, zbierając, uważają za artykuł żywności w szerszem znaczeniu, bo z nich robią znaczne zapasy, suszą je w piecu — a w zimie używają do kaszy hreczanej, jaglanej i bar-



Pomnik Stanisława Małachowskiego w kościele katedralnym św. Jana w Warszawie.

szczu. Biedniejszym służą także za omastę do ziemniaków.

Nie przeoczył lud wiejski korzyści, jakie mu przynoszą te bedki, więc zmysł poetyczny jego, lubujący się w przenośniach, podniósł ich wartość do znaczenia skarbów zaklętych. We włościach u podnóża gór Sto-Krzyskich, w Królestwie położonych, nawet pomiędzy mieszkańcami miasteczka Bodzantyna, liczne utrzymują się skazki o „podpieńkach“, zmieniających się w dukaty, lub srebrne pieniądze, a bajka następująca o „pastuszku i dziewce“ przedstawia wyobrażenia ludowe w tej mierze:

— „On gromadzkim był pastuszkiem, z drzewami znał się, jak z rodzonymi braćmi; nigdy szkód nie czynił w zagajach i bydlę strzegł, aby młodych zapustów nie niszczyło — a pomiędzy staremi drzewami, to już chodził z odkrytą głową, niby mając je za stare książęta dawnych wielkoludów, którym kłaniać się należy. Tak to mu podali i dziad i ojciec, z których jeden i drugi bywał borowym jeszcze za królewszczyzny. Kiedy inny ład nastał — a cudzych nastawili w lesie stróży, on „wziął“ bydło paść, a drzewom przecie został przyjacielem i prawie opiekunem borów. Dziewczyna, której rad był sercem, przejęła od niego tę cześć dla lasów. Do zbierania paszy nigdy nawet sierpa nie brała, aby nie kaleczyć młodych drzewek, tylko rękami rwała trawę. Mieli się pobrać pastuch i dziewka, on uskładał już nieco grosza, a pobrawszy także płacę za przedzimek, przeliczał na pastwisku swój majątek, gdy wtem wypadł z lasu „wilkołak“ [1]) pomiędzy bydło. Wiadomo zaś, że wilkołak niekiedy krowy dusi — albo je „nadmie“ — aby więc temu przeszkodzić, pastuch skoczył z miejsca i nuż „w boryki z kudłatym“ — który się bronił bardzo dzielnie. Zmógł go pastuch, bo miał osikową pałkę „naczynioną“ — a gdy nią „sparzył przez krzyż“ napastnika, przysiadł ten bez mocy. Parobek zdjął pas ze siebie i założył go na wilkołaka — a w pasie miał pieniądze. Zaledwie jednak zaciągnął rzemień, gdy jeniec czworonogi się zerwał—i z pasem i kaletką uciekł na błota leśne, wyjąc, jak opętaniec.

Dziewczyna pod ten czas była na grzybach z innemi kobietami, bo należy w kilkoro chodzić na podpieńki jesienią, inaczej „ono może się sprzeciwić“. Wydziały kobiety walkę z kudłatym, a dziewczyna już miała gałąź ułamać i biedz na pomoc, gdy ją, jakby tknęło, że to grzech kaleczyć drzewa. Przybiegła przecież sama z krzykiem, strasząc płachtą, aż wilkołak uskoczył na błota. W płachcie miała już grzyby, lecz biegnąc poczuła, że płachta nagle pociążała i coś w niej brzęczy — wyraźnie, jak pieniądze. Zajrzeli do płachty, a w niej czyste złoto: nowiuteńkie czerwieńce (dukaty). Parobek splunął — przeżegnali się razem, ale złoto złotem. Oddali więc część na figurę Męki pańskiej — potem pobrawszy się, w późne lata żyli szczęśliwie“.

Według innych podań podpieńki do domu przyniesione zmieniały się w talary i złote, lecz podłożyć należy pod nie paprociowe ziele i posypać solą święconą w wigilję Bożego Narodzenia. (Piorunka w Rzeszowskiem). Niekiedy babom przy zbieraniu podpienków udało się dostrzedz przez szczelinę w ziemi ogromne skarby. Należy wtedy zatkać ten otwór pokrzywami i przyłożyć kamieniem — a wyrzec: „niech go parzy jak pokrzywa, niech gniecie jak kamień, gdy ruszy“. Wtedy można nazbierać tych skarbów w pewnej nieprzekraczalnej ilości, inaczej zaczną się tlić i żarzyć jak węgle, a do domu przyniesie się tylko garnek popiołu, zamiast garnka złota. (Łozina w Gródeckiem).

O Podbuczkach (bordajkach, ssawkach) baśni ludowe mają posępniejsze barwy, nawet pewną grozę, jakby na na straszenie niszczycieli lasów obliczoną.

Lasy i bory — według niewykorzenionego po dziś dzień przekonania ludu — były bezpańskie, bo rosły, jak trawa bez wszelkiej uprawy. „Królowie polowali w nich, bo na to mieli „powinność“ (t. j. obowiązek). W nieprzejrzanych okiem puszczach starodrzewu żyło mnóstwo grubego zwierza, który niemało szkody czynił w polu chłopom; polowania królów były więc służbą w interesie ogółu wykonywaną. Że jednak królowie nie mogli wydołać sami, przeto przykaz dali do panów, aby ich zastępowali. Lecz przecież nie ubywało lasu wtedy, choć każdy brał z niego, co chciał — i starzy powiadali:

„Był las — bez nas
Za nas — jest las,
Będzie las — po nas“.

Rąbał też, kto jeno chciał i wiele chciał — nawet żydy, ale ci zaraz wywozili drzewa nad rzeki, któremi spuszczali je w zamorskie kraje.

Wtedy dopiero zaczęły „chodzić posłuchy“ — że będzie licho za to — a bywało nawet, gdy korę łupano z drzewa zrąbanego, to ono się wiło i wykręcało, niby człowiek na mękach. Często też chłopi zamiast gałęzi, odcinali sobie palce, ręce, nogi — a wielu ginęło potłuczonych przez padające dęby, buki, modrzewie, klony, olchy i jawory odwieczne. Wszystkie te przestrogi na nic się nie zdały—bo i panom przykrzyły się już ciągłe nagonki po lasach, i mówili, że mniej będzie wilków i szkodników, gdy nie znajdą schronisk dla siebie w gęstych borach.

Tymczasem na wyrębach, gdzie tylko pagórek „siaki taki“ — ono z wiedźmami już odprawia „djabli taniec“ po nocach, a po dniu jasnym wylatujące ze szklanej bani psy grzywiaste (wiatry i wichry) wyły, aż bór trząsł się cały. Jednak chłopi nie zaniechali licha, ale bez upamiętania niszczyli drzewostan — już nie przestając na tem, by wycinając drzewa najgrubsze, młodego przyrostu strzegli, ale ognie podkładali — i zaledwie wiosna nastanie, to już się dymią lasy, jak zasięgnie oko.

Mniemam, iż autor „Ziemiaństwa Polskiego“ w obrazie spalonego lasu, narzekając, że

„Niema tu rąk do pracy, lecz są do zniszczenia“

patrzył na takie katastrofy, ręką ludzką spowodowane,

„gdy na buchającej ogniami przestrzeni
W jeden się płomień złączą tysiące płomieni,
Gore ognista góra — a wierzch jej wysoki —
Wązkim językiem sięga i patrzy w obłoki;
Po rzekach - po jeziorach blask jutrzenki nieci—
Już nie słońce dla ziemi, ziemia niebu świeci!
O ległych stron mieszkaniec truchleje śród cieni
Na tę łunę, co miedzią błękity rumieni —
Mniema, że twarde pieczar przedarłszy sklepienie
Piekło, z czarnych otchłani wyrzuca płomienie,
Że część ziemi w popiele, że już świat przy zgonie.
Jak go chłonęły morza, tak go ogień chłonie“.

Po ogniach też — zapewnia lud wiejski — wielka ilość grzybów nosi ślad widoczny w żółtawym kolorze podgarla. Podbuczki-ssawki również mają to znamię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Na Podlasiu, na Mazurach, Mazowszu i na Rusi, wszędzie istnieją podania o wilkołakach. „Na Podlasiu jeden czarownik całe wesele zamienił w wilki; potem, jak obławę zrobiono i ubito tych kudłaczy, pod ich skórą znaleziono u państwa młodych jeszcze u boku wiązanki kwiatów, a u grajków całe skrzypki weselne“. Zarysy literatury K. Wł. Wójcickiego. Warszawa 1879.

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

Starościc, nic nie mówiąc, wyciągnął rękę po klejnot do żyda, ten jednak cofnął się żywo.

„No, panie Salomonie“, odezwał się nieznajomy, widząc to, „chcesz koniecznie po swojemu się targować, a ja dalibóg nie mam czasu. Powiadam ci więc, że ani dukata nie opuszczę. Chcesz, to dobrze, a nie, to wynoś się do dyabła, bo chciałbym spocząć, a kupiec jeszcze się znajdzie“.

„Panie starościc! Na honor 70 dukacików“, próbował już na pewne Salomon.

„No, więc pakuj się za drzwi“, rzekł zimno gość, sam się pewnie śmiejesz, że daję za 100 dukatów, a jeszcze targujesz się. Ale prawda dodał grzeczniejąc tak szydersko, że nawet żydek na tem poznać się musiał, „ale prawda, tyś mój gospo-

darz; bądź więc łaskaw wynieść się ze swą personą za drzwi, panie Salomonie Pene, gdyż chciałbym się przespać".

„No, co robić, Jaśnie Pan rośnie taki dowcipny, z nim nikt nie potrafi żartować. Cóż robić", to mówiąc wyciągnął nie wiedzieć skąd skórzany woreczek, z którego, wzdychając, sto dukatów odliczył.

Gdy operacya ta nareszcie się skończyła, były fagas wyszedł, przeprowadzony przez gościa szyderczym wzrokiem. Gdy był już przy drzwiach i ostatni ukłon miał złożyć, gość syknął:

„Czekaj-no, czekaj, panie Salomonie! Mam cię jeszcze o coś prosić. Mnie tu jutro pewnie nie będzie, ale w twoim interesie radziłbym ci niebardzo chwalić się kupionym klejnotem, a przynajmniej nie prędzej, jak za rok, lub dwa. No, bądź zdrów!" dodał, nie patrząc na przedłużającą się twarz żyda, obracając się na sofie do ściany.

Czasby już był może, powiedzieć co o naszym nieznajomym.

Byłto, jak go tytułował Pene, istotnie starościc, Adam Karski. Gdy dorósł, wysłany został przez ojca, mieszkającego gdzieś w zapadłym kątku Polski, gdzie nawet o Bożym świecie dobrze niewiedziano, na naukę do Warszawy. Adaś był zuch chłopiec, szczery, otwarty, figlarz i psotnik, ale z tem wszystkiem dobre serce miał. Hulać, pić i bawić się aż do upadłego lubiał, przyczem był pobożnym; szanować siwe włosy, oddać grosz ostatni dla biedaka, wcale mu w tem nie przeszkadzało. Zrobiła go takim ówczesna Warszawa, której charakter mniej więcej w tych samych słowach określićby można; naturalnie Warszawa zarażona tylko lekkością Francuzów, nie wpływem stokroć gorszym Moskali i Prusaków, wpływem, niszczącym bez zapamiętania wszystko, cokolwiek było jeszcze dobrego.

Dopóki żył staruszek ksiądz, przyjaciel ojca, a jedyny opiekun Adama, wśród napaści świata warszawskiego, dopóty panicz z obawy przed dyscypliną, której mu nie szczędzono, jako tako żył w pewnych karbach. Gdy jednak po dwudziestu latach, w wieku najniebezpieczniejszym dla młodego Warszawiaka owych czasów, śmierć starca osierociła młodzieńca, nic takiego nie było, coby go od szalonych przynajmniej wybryków powstrzymać mogło. A że stary Karski, mający najlepsze o jedynaku wyobrażenie, nie wahał się zostawić go bez opieki w stolicy i sam mało potrzebując, cały prawie roczny dochód mu posyłał, żyło się tak, jak francuska moda przykazała. Tymczasam właśnie, gdy stolica na początku panowania Stanisława Augusta najbardziej ożywiać się poczęła, starosta, spodziewając się lada chwila śmierci, zapragnął jeszcze raz w życiu widzieć jedynaka. Że się ucieszył, zobaczywszy przed sobą mężczyznę prawie tego, którego dzieckiem w świat puścił, o tem mówić nie trzeba. Nie wiedział biedak o o warszawskich stosunkach. — Zdawało mu się, że stolica została taką samą, jaką znał z opowiadań. Jakoż, nie mogąc się nim nacieszyć, zatrzymał go sobie, chcąc koniecznie ożenić na miejscu i oddać porządnie obdłużony majątek.

Gdy staruszek po roku umarł, Adam hulał na resztce majątku dopóki się dało, rozkochał niejedno serduszko — a w końcu, gdy tylko odzienie na nim będące jego własnością było, drapnął na ojcowskiej szkapie, zostawiając wszystko na łup oszukanym wierzycielom. Gdy koń padł pod nim na kilka mil przed Warszawą, przywlókł się piechotą aż do najbliższej jej wioski.

Takim, jednym z wielu, był starościc Adam Karski.

Zaledwie upojony łatwo wyduszonemi dukatami i umęczony drogą, ułożył się do snu na sofie, gdy do pokoju wszedł a raczej wbiegł młody człowiek, rówieśnik Adama. Byłto wysoki, barczysty, ubrany

T. BARĄCZ.



Model pomnika T. Kościuszki w Chicago.

podług francuskiej mody, młodzik z cwikierem na nosie przy francuskiem ubraniu o rudych włosach i wąsach, pan Juliusz Szubalski, przyjaciel młodości starościca i hulaka taki sam, jak on, jeśli nie gorszy. Rodziców postradał w dzieciństwie, a z czego żył, niczem nie będąc, o tem wiedział tylko on i Pan Bóg, w którego, nawiasowo mówiąc, nie wierzył wzorem innych.

Ku wchodzącemu Adam wyciągnął rękę.

„Jużeś tu? A raczej dopieros tu? Bój się Boga, gdzieżeś bywał tak długo? zagadnął młody Juliusz przyjaciela.

„At, nic ciekawego. Stary przeniósł się na łoże Matki Boskiej, czy jak się tam mówi po księżemu, co było przehulałem i przytarłem tu nazad do was A jak kocham Warszawkę, to wiedz, że piechotą szedłem trzy mile, bo mi szkapa zdechła".

„Cóż będziesz robił?"

„Wszystko, oprócz męczenia się pracą".

„A maszże co?".

W odpowiedzi starościc wyciągnął jeden dukat i rzekł:

„Takich sto".

„Zmiłuj się! skądżeś do tego przyszedł?" zapytał zacny przyjaciel, a oczy mu się zaświeciły, jak bazyliszkowi.

„Cudem prawie". Tu opowiedział przypadek z krukiem, którego byliśmy świadkiem.

Gość pokiwał głową, wydął wargi i poprawił cwikier, mówiąc:

„Niebardzo chcę temu wierzyć".

„Nie może być!" rzekł drwiąco Adam, „toż przed kochanym Szubą nie kryłbym się, gdybym kogoś obdarł".

Na taką oznakę życzliwości Szubalski cierpko usta wykrzywił i skłonił głowę, jakby dziękując za nią.

„Ale powiedzże mi, co tu w kochanem miasteczku słychać. Nie będzie nam nikt przeszkadzał hulać?" zagadnął po chwili milczenia starościc.

„Hulać", powtórzył dobitnie Juliusz, „nikt. Owszem kochani trojacy przyjaciele wspierają wszelką hulankę; przynosi to im korzyść, ale tego, tu wskazał polski ubiór przyjaciela, pozbyć się musisz koniecznie. Patrz, jak ja ładnie wyglądam".

Adam słuchał ze zdziwieniem.

„Jacy trojacy przyjaciele?" zapytał, gdy Szubalski skończył.

„Znać, żeś przybył z zaścianka", odparł młodzian, nie wiesz, co tu się dzieje. Ale wiesz to może przynajmniej, że mniej więcej od elekcyi kochanego stolnika, jesteśmy w silnej opiece Rosyi, Prus i Austryi. Wszystko troje zgodnie życzą sobie, aby nasz kraj rozebrać po kawałku i zjeść na obiad dyplomatyczny. Teraz wodzi tu rej ambasador z Petersburga, którego jestem tajnym ajentem", szepnął zcicha, oglądając się wkoło, poczem dalej mówił. „Rozumiesz więc teraz, że wszelkie zabawy i hulanki, odwracające uwagę na politykę, są bardzo pożądane".

„Bajki, bajki, Lubo! Gdzież to do prawdy podobne, aby brać szlachta na coś takiego pozwalała, obcym hołyszom, mięszać się do spraw Rzeczypospolitej. Wygoniliby ich za dziesiątą górę".

„Ha, ha, ha!" zaśmiał się ajent. „Nie wierzysz, wyjdź na ulicę ze mną, to cię przekonam. Wyjrzej przez okno, poznasz, kto tu będzie panem niedługo.

Adam wstał z miejsca i rzekł z pewnem ubolewaniem:

„Szubo! Czy stary Gaweł i jego piwniczka istnieją jeszcze? Tyś musiał tam się potraktować dzisiaj, bo gadasz, jak waryat. Jakto, tu u nas, w Warszawie, myślą nad zaborem kraju, a cóż szlachta, co król, co duchowieństwo, co prymas na to? Nie, tyś zwaryował. Udajesz jeszcze tak dobrze szpiega tego ambasadora."

(Ciąg dalszy nastąpi).

A. H.

Z WIEDNIA.

(Dokończenie).

KRONIKA ARTYSTYCZNA.

Otóż syn jego, wspomniany wyżej dr. Herman Rollett, teraźniejszy archiwaryusz miasta, który nas tak mile w swojem archiwum przyjmuje, zaznał jeszcze i wiele polskich tradycyj Badeńskich, mianowicie pamięta jeszcze Ossolińskiego, którego letnia rezydencya w Badenie była centralnym punktem dla świata naukowego, do którego i ojciec jego Rollett Antoni należał — i stąd sympatyzował i dotąd sympatyzuje z nami — czego dowodem jego trzy pieśni: „Ein Pole" w jego „Frühlingsboten aus Oesterreich," Jena 1846, potem „Eine Geist-Politische Legende", drukowane w ulotnem piśmie r. 1848 z ilustracyą, i skonfiskowanem: „Der blutbefleckte Moscovite Faust im Polenland"... — wreszcie kilkakrotnie drukowany: „Kosakenhymne" także z owych czasów — wiersz co do poetycznej werwy, formy i politycznie dojrzałej satyry pod każdym względem znakomity, bo z powodu wewnętrznej swej prawdy dziś jeszcze świeży — nie trąci myszką lat pięćdziesięciu...

Temu jednemu to człowiekowi Baden wszystko zawdzięcza, co się do jego historyi, topografii i pomników odnosi, a uratowanem zostało przed zatraceniem i znalazło miejsce w archiwum, lub muzeum, lub weszło do ksiąg, gdyż ten tak czynny i ruchliwy starzec od lat 12 wydaje co roku zeszyt swoich niezmordowanych w tym kierunku poszukiwań i badań, jako: „Beiträge zur Chronik der Stadt Baden". W tym roku ma wyjść tom 13. W każdym z tych zeszytów oprócz dokumentów, alfabetycznie umieszcza wiadomości o osobistościach, z Baden, w jaki sposób w styczność wchodzących — i swoje osobiste wspomnienia o sławnych ludziach: jak Mendelssohn, Beethoven, cesarz Franciszek, książę Reichstadt, Schwind, Lampi sen. etc...

W regestrze wybitnych osobistości polskich znachodzę tedy Altomontego, hrabinę Aleksandrowicz, i hr. Rzewuską, wdowę po Sewerynie, wreszcie Ossolińskiego. Ci ostatni mieli tu nawet swoje pałace, względnie wille, i nie przypisuję to prostemu przypadkowi, że one wszystkie zachowały się nam dotąd w rysunkach, a jedna — oprócz przebudowanego nieco pałacu Ossolińskiego, w pierwotnym niezmienionym kształcie, t. j. pierwsza willa hr. Rzewuskiej, dziś Mozartgasse 5, — akwarellowana przez Lefebre'a później własność XX. Dietriechstein, potem br. Herberstein. Druga jej willa dziś Nr. 81, 83 Weilburgstrasse (Dr. Hahn) w r. 1823, w zbiorze widoków Badeńskich generała Auracher na karcie 42 umieszczenie znalazła, podczas gdy pałac Ossolińskiego litografowany jest przez Duvivier'a. Szczególnym trafem, o tych własnościach w „tabuli miejskiej" nie mogłem się doszukać (dla niekompletu książek tabularnych) zupełnej ewidencyi, tylko wzmianki luźne, podczas gdy willi pani Aleksandrowicz z hr. Ledochowskich, której niema zdaje się wizerunku, — w tabuli od kupna gruntu przez nią wr. 1806, i późniejszych dokupień w r. 1808, w których jest zapisana, jako Excellenz Maria Anna Gräfin v. Aleksandrowicz, aż do dzisiejszego dnia — kompletne są wykazy.

Przez długie lata od r. 1805 do 1810, zjeżdżała tu sama, od r. 1811 do 1814 włącznie, zawsze z hrabiną Tyszkiewicz, z domu księżną Poniatowską, bratanicą króla — i mieszkały w Gutenbrunn 35 w domu rodzinnym Rolletta. W roku następnym musiała już zamieszkać w swojej własnej willi (dziś Helenenstrasse 24 i 26) gdyż odtąd niema jej już w wykazie gości kąpielowych, podczas gdy hr. Konstancya Tyszkiewicz jeszcze przez dwa lata następne u Rolletta mieszkała Drowi Hermanowi Rolletowi zawdzięczamy, że znalazł i uratował (1883 r.) płytę marmurową z jej grobowca na starym cmentarzu św. Heleny od zniszczenia, gdyż przeznaczoną już była z innemi „na bruch" — i umieścił ją na przepięknym nowym cmentarzu, jako pierwszy grobowiec na lewo od wejścia.

Z napisu, na którym „Marceliną" jest zwana, dowiadujemy się, że umarła, 70 lat przeżywszy, 11 września 1826 „Ave anima dulcissima — pax tibi sempiterna". — Żyje w pamięci Badeńczyków i tem, że stworzyła swoim kosztem, a i pracą rąk własnych park, dziś jej imieniem przezwany, i miastu darowany — a świadczy to o szlachetności i pietyzmie dra Rolletta, że w dniu 11 września 1883, jako rocznicy jej śmierci, grobowiec jej wieńcem ozdobił, już poprzednio r. 1873 jej imię, jako dobrodziejki Badenu, na tablicy pamiątkowej umieściwszy.

Tem jeszcze obie te damy polskie żyją w pamięci Badeńczyków, że należąc do „stowarzyszenia dam szlacheckich" wraz z baronową Aichelburg z domu Woroniecką, (jak świadczy dra A. Rolletta: Hygiea z r. 1816) głównie się przyczyniły swą pieczą i troskliwością do fundacyi i zbudowania dziś jeszcze istniejącego „Szpitala Maryi" (1813). — Wspomina tamże Antoni Rollett, że i hrabina „Wurzel" (sic) budowaniem pałacu przyczyniła się do upiększenia miasta, jednakże żadnych w tym względzie, śladów w aktach nie znalazłem, ani tradycya o tem nie mówi. Faktem jednakże jest, że Marcelina hr. Wurzell w latach 1808 i 1810 (w r. 1809 z powodu najazdu Francuzów listy kąpielowych gości nie wydano, bo i pewnie żadnych nie było, skoro Francuzi w 6000 ludzi od maja do listopada miasto zajęte trzymali) w Badenie gościła.

Dr. Herman Rollet wynalazł ślad, że hr. Seweryn Rzewuski w r. 1804 fundacyę dla „biednych potrzebujących kuracyi" tamże utworzył był.

W moich poszukiwaniach tabularnych znalazłem jeszcze jednę familię polską w Badenie osiadłą, a mianowicie: w r. 1802 kupili małżonkowie Maciej i Filipina Michałowscy dom w Gutenbrunn Nr. 38, za cenę 3300 fl., — a w r. 1821 Ekscelencya hr. Ossoliński dokupił winnicę, przytykającą do swej posiadłości za cenę 300 fl. w. w.

Sprawozdanie z księgi pamiętniczej starego Rolletta i z list kuracyjnych za pierwszych lat 30 ubiegłego stulecia, w których polskie towarzystwo w Badenie co do ilości, i świetności imion — ton nadawać musiało — odkładam do następnego listu.

Artur Schnitzler.

OWACYA.

NOWELETTA Z ŻYCIA TEATRALNEGO.

(Ciąg dalszy).

Razu pewnego zaś, gdy wracał z restauracyi nieco podpity do domu, wpadło mu coś szalonego na myśl: chciał oto przy najbliższej sposobności paść na środku sceny na kolana, i prosić: O szlachetni ludzie!... — przedstawić im całą grozę swego położenia i całą swą nędzę, a wiedział, że wówczas znajdzie w piersi swej takie dźwięki, którym się nikt nie będzie w stanie oprzeć, wówczas właśnie powinniby ludzie poznać, że on jest wielkim artystą, i wielu ludzi możeby płakało, a on razem z nimi...

Ta myśl wracała u niego często, lecz nie, jako coś, nad czem się myśli poważnie, lecz jakby wspomnienie pięknego snu.

Dzwonek, wzywający go na scenę zabrzmiał. Wstał i schodził zwolna po drewnianych schodach. Po chwili stał już za kulisami. Kilku chórzystów rzekło mu: dobry wieczór. Roland postąpił kilka kroków naprzód i stanął sobie pod drzwiami, któremi miał wejść na scenę. Słyszał, jak Blandini śpiewała; oczekiwał na słowo, po którem miał wejść... Tak... oto je wymówiła; inspicyent, który stał obok niego, dał znak; dwu robotników otworzyło drzwi i Roland wszedł na scenę. Lecz było to nieco zawcześnie. Inspicyent zbyt szybko dał znak, by otworzono drzwi,

albowiem właśnie dały się słyszeć silne oklaski, które widocznie należały się pannie Blandini. Uwielbienie dla niej wzrasta jeszcze ciągle, myślał, nawet po kilku taktach takie brawo!... Lecz oklaski wcale nie ustawały. — I Roland spojrzał mimowoli na pannę Blandini, która zrazu patrzała na publiczność, a potem na niego. Słyszał, jak szeptała do niego: „Czy pan to pojmujesz? co to?..." A oklaski coraz się wzmagały... Roland spojrzał na galeryę... Nagle zdało mu się, że słyszy wśród oklasków swe imię... ale, — musiało mu się pewno przesłyszeć. Blandini rzekła: „Czy pan słyszysz?... — pańskie imię". Oklaski wciąż jeszcze trwały, a wołania: Roland! Roland! były coraz głośniejsze. „Co to jest?" myślał Roland „czym ja oszalał?. „Czy śnię?" „Mów pan!" — rzekła Blandini. — „Co?" spytał Roland w ogromnem roztargnieniu. „No... pańskie słowa... o klejnotach!" — Roland począł mówić: „O piękna pani! te klejnoty..." Lecz nawet sam siebie nie słyszał. Kilka syczących tonów wmięszało się w oklaski, poczem się one stały jeszcze głośniejszemi. „Wieńce!" rzekła Blandini. A Roland w przekonaniu, że one są przeznaczone dla panny Blandini, postąpił kilka kroków naprzód, pochylił się i wziął podany mu z orkiestry olbrzymi wieniec laurowy, który natychmiast podał śpiewaczce. Lecz ona szeptała: „To dla pana!"

Nie rozumiał nic; wtem padł wzrok jego na wstążki, i ujrzał swe imię. Przez kilka sekund działo się w nim coś niezwykłego; on myślał: „Jestem wielkim artystą." To wszyscy uznają, choć gram tylko małe role; wziął mechanicznie jedną z wstążek w rękę i czytał: „genialnemu artyście, Rolandowi, wdzięczna publiczność..." W tej chwili usłyszał grzmiący śmiech w sali; wstążka wypadła mu z rąk; zbladł... spojrzał na publiczność: rąk klaszczących tysiące, i tysiące twarzy śmiejących się, rozweselonych... Nagle zrozumiał wszystko. Czuł, że musi paść na ziemię i zakryć twarz rękoma, bo śmiano się z niego, szydzono z niego... Cała publiczność wpada w szał wesoły z powodu pomysłu, aby jego, Frydryka Rolanda, uczcić. Czuł to: Oh! teraz dosięgnął szczytu swej smutnej sławy... uczuwał to aż nadto, że przestał widzieć i słyszeć, i wpatrywał się w krzyczący i śmiejący się tłum ludzi, jak gdyby w próżnię głuchą. — Wtem nagle wszystko ucichło, Roland wiedział, że słów swoich jeszcze nie wyrzekł, a może to Blandini mu szepnęła, że ma mówić. Wówczas patrząc na śpiewaczkę rzekł bez najmniejszego drżenia w głosie: „Piękna pani! klejnoty te przesyła ci mój pan" — Blandini wzięła z rąk jego klejnoty i spojrzała nań długo, przeciągle. On musiał myśleć pewno: „Nigdy mię przedtem takim wzrokiem nie obdarzała", i pytał się w duszy: dlaczego?... Wtem usłyszał, jak rzekła do niego: „Nie rób pan sobie nic z tego!"

Teraz zauważył, że orkiestra gra znów; kilka początkowych taktów aryi zabrzmiało; Blandini miała teraz śpiewać. Arya panny Blandini wydawała się Rolandowi nieskończenie długą. Roland stał koło drzwi i słyszał dobrze mu znane dźwięki, a Blandini śpiewa coraz dalej; zdawało mu się, że śpiewa już godzinami. Roland stracił zupełnie świadomość. Cała scena to zapadała się przed nim, to znów wynurzała się, a szmer jakby tysiąca delikatnych bezmyślnych głosów, szumiał przed nim; lecz arya panny Blandini brzmiała czysto, wyraźnie, jakgdyby miała się przedostać przez drzwi i ulecieć gdzieś w świat, a Rolandowi się zdawało, że pieśń tę cały świat mógłby wraz słyszeć, gdyby tylko chciał słuchać.

O jakżeż dobrze było, że tak długo śpiewała, bo on lękał się końca tej aryi. Przypominał sobie wciąż te śmiechy i krzyki, przed jej rozpoczęciem. O! — straszna scena pewno znów się powtórzy... i czuł, że musi zebrać siły, by to módz jeszcze raz wytrzymać,—to było okropnem.—Arya się skończyła. Blandini podała mu klejnoty.

A Roland spytał: „Cóż mam memu panu oznajmić? — Blandini rzekła: „Nic" — a głos jej drżał przy tem, jak nigdy przed tem. Przy tem spojrzała nań błagalnie, jak gdyby go usiłowała swem spojrzeniem zatrzymać na scenie — lecz on musiał odejść.

Ukłonił się, drzwi się otwarły i wyszedł. Wówczas zaczęto, jak wpierw: „Brawo! Roland! Roland! Brawo!"

Znajdował się już za sceną; obok niego inspicyent, kilku chórzystów, którzy się aż tu przecisnęli.

Nawet i młody komik przybył. „O! — to mistrzowstwo!" rzekł do Rolanda.

Wtem przystąpił dyrektor. "Panie Roland, co to wszystko ma znaczyć? — nie wiesz pan? Czy ci ludzie dziś oszaleli?"

Roland zaprzeczył mu ruchem głowy. „Co my dziś poczniemy? zawołał dyrektor. „Ci klaskają wciąż jeszcze... Pan będziesz musiał wyjść i ukłonić się!" Dobrze — rzekł Roland.

Teraz dopiero spostrzegł, że trzymał wieniec w ręku. „Pan go zatrzymasz!" rzekł dyrektor — „to dobrze podziała. Otworzyć drzwi!"

Drzwi się rozwarły, a Roland wyszedł na scenę. Brawa i oklaski przeszły w formalną burzę. Młody komik rzekł do dyrektora: „Podług mego zdania, tu chodzi o jakiś zakład". — „Możliwe" — rzekł dyrektor "tak każdy ma w życiu swem dzień owacyi".

Roland wyszedł ze sceny, drzwi się przymknęły napowrót. Wieniec wypadł mu z rąk; szedł powoli do swej garderoby. Kilkoro dziewcząt z chóru chciało mu żartem dłonie uścisnąć, lecz on, jakby ich nie spostrzegł, szedł dalej. Wtem uczuł, że go ktoś z tyłu zatrzymał. "Pan musisz raz jeszcze wyjść! Publiczność nie chce się uspokoić!"

Roland odwrócił się, znów wyszedł na scenę i ukłonił się głęboko.

Tak wiele komizmu w tem było, że śmiech publiczności stał się jeszcze serdeczniejszym, jeszcze głośniejszym; wielu polubiło nawet w tej chwili Rolanda.

Wtem nagle znów mu na myśl przyszedł ów jego sen, i pytał się w duszy, czyby też teraz nie była stosowna chwila paść na kolana i zawołać: „O szlachetni ludzie! Łaski! Łaski!..." Lecz wiedział, że jej wśród nich nie znajdzie.

I tak wśród śmiechu i oklasków uczuł się nagle bardzo opuszczonym. Kiedy odchodził, rzucił przelotne spojrzenie na pannę Blankę Blandini. Miała łzy w oczach. Teraz krzyki wśród publiczności ustały wreszcie; dyrektor poklepał Rolanda po ramieniu i rzekł z uśmiechem: „Owacya".

Za kulisami zgromadziło się wielu aktorów, chórzystów, maszynistów i robotników i mieli ogromną chętkę przenieść tu ów żart z amfiteatru. Lecz Roland przeszedł obok nich ze spuszczoną głową i nie widział ich, ani nie słyszał.

Przeszedł zwolna drewniane schody, otworzył drzwi swej garderoby, wszedł, i zamknął ze sobą drzwi na klucz. Zamek zgrzytnął za nim, a tam na dole przedstawienie odbywało się w dalszym ciągu.

(Dokończenie nastąpi.)

Bertold Menkes.

O „NOWEJ DEJANIRZE".

...błyskawicowy, roztęczony Słowacki!
Kasprowicz.

Trzy kategorye osób działających wprowadza Słowacki w N o w e j D e j a n i r z e.

Do pierwszej zalicza tych, u których dominuje trzeźwość, obrachowanie, rozum, ten rozum przeciętnego zjadacza chleba, wyostrzony w szkole życia, tworzący ludzi nawskroś egoistycznych, a w gruncie rzeczy głupich, komedyanckich... Takim jest były marszałek powiatowy, hrabia Respekt, taką jego żona, takim jego przyjaciel Rzecznicki, słyszący verba veritatis, jak:

„O baranie
O którym niegdyś w mistycznem widzeniu
Śnił Sanszo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz..."

Serce, uczucie, często nawet hypertrofia uczucia, dobroć a szlachetność znamionują drugi typ osób w Dejanirze. Są niemi przedewszystkiem obie panny w domu hrabiostwa Respektów, Dyana i Stella — dwie lilie, cudem jakimś niepokalane na tym śmietniku egoizmu, komedyanctwa i frymarczenia, choćby nawet ciałem córki; jest Jan, sybirak, z sercem rozdartem na strzępy, duszą przepojoną bolem i nostalgią, mający na ustach owo straszne: Vae victis!

„O biedny! biedny! biedny! biedny!
Który ojczyznę straci!"

Jest wreszcie Wołdemar Hawryłowicz
„czerkieski plennik,
Porwany kiedyś dziecięciem z auła,
Taj zmoskalony — Grek, łotr i moszennik,
Byłby i generał"

gdyby nie serce, którem umiłował ten Czerkies wszystko, co dobre a nieszczęśliwe.

Trzecią kategoryę postaci stanowią Fantazy i Idalia. Charakterystyczną ich cechą egzaltacya.

On — którego „duch w pysk bierze" ona — określona przez Fantazego następująco: „...jej talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała..."

— — — — — — — — — — —

Takim to osobom każe Słowacki wejść w stosunki czyto towarzyskie, czy sercowe, każe im harmonizować ze sobą, wiedząc dobrze, że harmonia tu niemożliwa, że rozdźwięk konieczny. I ten też rozdźwięk jest zawiązkiem konfliktu dramatycznego. Bo jakżeż pogodzić tego zacnego majora z domem szlachcica utracyusza, błyszczącego ostatkami fortuny, nieszczerego na każdym kroku i w każdym calu; jak Dyanę „wybieloną wiatrem na Sybirze“, która

„jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło —
— która patrząc na matki aktorstwo,
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
Nędzy domowej...“

— jak pogodzić tę osobę z marzycielem, fantastą, wsłuchanym w dźwięki własnych słów, rozkoszującym się cieniem rzeczywistości, a uważającym ją samą za coś brutalnego. Jak wreszcie dostroić do tego całego towarzystwa Idalię, tę egzaltowaną kobietę, nieszczęśliwą wskutek swych urojeń i dobrowolnego szybowania w sferze marzeń, tę, która sama o sobie mówi:

„Jestem tu przelotem
Przelatujący anioł“...

lub

„Bo ja szaloną jestem; bo złowroga
Gwiazda świeciła wcześnie urodzonej
Pomiędzy ludźmi, którzy jeszcze rosną
Nie śmiejąc kroku zstąpić z bitej drogi“.

Ta dysharmonia, jaka wyłonić się musi, kiedy tak sprzeczne sobie istoty wejdą w ściślejsze ze sobą stosunki, uwarunkowała powstanie tragedyi. Nie wypadki więc sprowadziły zaostrzenie się stosunków w tem gronie i, co za tem idzie, katastrofę, ale niezgodność ich charakteru, różnorakość ich ustroju psychicznego. Pod względem więc technicznym należy N o w a D e j a n i r a do kategoryi, określonej w teoryi sztuki, jako „dramat“. Natomiast ze względu na swą wartość wewnętrzną, na myśl autora, jaką chciał przejawić w swem dziele, jest najwspanialszą komedyą satyryczną. Boć jakże się nie śmiać, widząc tych ludzi, którym prawie bez wyjątku brak poczucia miary, zarówno w myślach, jak i w uczuciach i czynach, którym brak pełni warunków życiowych. Jestto psychologicznie uzasadnionem, iż śmiejemy się z cudzego nieszczęścia, iż uśmiechamy się wówczas, gdy ktoś na ulicy się przewróci. Tak samo śmieje się z tych „niepoprawnych“ Słowacki, tak samo zmusza nas do śmiechu. Nie jest to jednakowoż ten zewnętrzny, głośny i swawolny śmiech — to ten cichy, kurczący co najwyżej usta, powodujący gest satyryczno-pogardliwy, a często zostawiający w duszy ślad zgorzknienia...

Fantazy, ten blady młodzian z okiem żarzącem się, czołem marzycielskiem, a głową nabitą majaczeniami i fantasmagoryami, hamletyzujący na cmentarzu, patrzący w oblicze śmierci nie ze strachem na twarzy, a krzykiem na ustach, jeno ze słowem podniosłem — jest przecież postacią poważną, bohaterską, niemal, że tragiczną. A przecież śmiejemy się w duchu, ilekroć się na scenie pojawi, bo czujemy wyraźną intencyę autora, zmierzającą do wyszydzenia paradoksalności jego uczuć, do wykpienia jego urojeń. Nawet śmierć staje się krotochwilną, kiedy się na nią patrzy przez pryzmat pojęć Fantazego. To też w chwili ocknięcia się, kiedy przekonuje się, że celem jego poetycznych i rycerskich czynów była prozaiczna i śmieszna donkiszoterya, przyznaje, że śmiech

„uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą — — P a t r z, j a k i c h k o m i k ó w
W y d a j e P o l s k a: a ż d o g r o b u ś m i e s z ą!“

— — — — — — — — — —

Mimowoli narzuca się nam pytanie: Kiedyż w tym kantorze, gdzie się nakłada maskę fałszu, a kupczy ciałem, kiedy znowu w tym pałacu o złoceniach utkanych z marzeń, objawia się naga prawda, istotność, nieudrapowana w płaszcz łudzenia innych (Respekt, Rzecznicki), lub łudzenia siebie samego (Fantazy, Idalia)? Kiedy w tych ludziach, żyjących pozorami grają tony c z ł o w i e c z e?

W chwili nieszczęścia, bolu, zgrozy, zapomina się o pozie, o masce, jaką się wobec innych nosi; wtedy ujawia się bez obsłonek istota człowieka. I tak wszystkich po kolei Słowacki demaskuje, wszystkim wykazuje ich sztuczność. Hrabiego Respekta przychwytuje na niej co chwili, np. kiedy począwszy od wyrażenia kendolencyi, z powodu śmierci psiny Fantazego, dochodzi do brutalnego przypomnienia kwestyi pieniężnej, nieodzownej w maryażu jego córki; Rzecznicki z chwilą

„gdy ból mu wszystkie zęby powyrywał
Zacierpiał sercem, krwią — i trysnął z powiek
I s k r ą c z ł o w i e k a“.

A jakąż goryczą i jakiem poznaniem swej śmieszności zaprawione są słowa Fantazego:

Jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się n a z i e m i i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
Wydrwić!...

A wreszcie czyż na dnie serca tej ekscentrycznej, spragnionej senzacyi Idalii nie drzemią instynkta szlachetne, das Ewig — Weibliche, uczucie litości?

— — — — — — — — — — —

Pozostaje jeszcze kategorya ludzi „co mają serce i patrzą w serce“. Biedni oni! Słowacki im wszystkim pęta na ręce nałożył, w łańcuchy niemocy okował, ale aureolą spokoju ducha i szlachetności opromienił. Dyana — Jan — Major — — oni jedynie są tragiczni. Rozwiązanie węzła dramatycznego im jedynie przysparza wyzwolenie: parze kochających szczęście na ziemi, Majorowi w zaświecie... Brak im tej przyprawy ironii, jaka przebija z reszty postaci. Z nich śmiać się niepodobna. Ich widok łzy z pod powiek ciśnie...

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(HALKA).

Drugą „nowością“ w sezonie operowym, była Halka Moniuszki. Wystawienie tej opery było tak odmienne od tego, cośmy dotąd słyszeli, że śmiało możemy ją nazwać nowością. Sala teatralna tym razem zapełniona po brzegi, przedstawiała interesujący widok. Staroświeckie suknie, osrebrzone i trzęsące się od starości głowy, postacie, których się już nigdy nie spotyka na miejscach publicznych, przeważały w audytoryum. To nasi dziadowie przyszli jeszcze raz (może ostatni) posłuchać tej muzyki, z którą łączy się tyle wspomnień drogich a niepowrotnych, dziś jeszcze pełnej czaru i uroku, jak niegdyś, kiedy cała Polska śpiewała „Kiedy rannem słonkiem“. My tak bardzo od kołyski prawie, zżyliśmy się z tą muzyką, że jest ona dla nas czemś pamiątkowem, świętem. Melodyę każdą znamy na pamięć, jak modlitwę, której nas matka uczyła, a przecież nie możemy się oprzeć tej potędze uczucia i piękności Moniuszkowskiej pieśni. I przychodzi znowu, i bierze nam dusze w ramiona, i kołysze, i upaja... jakieś niewidzialne a miękie ręce kładą nam się na skronie...

Wystawiono Halkę z ogromnym pietyzmem i wielkim nakładem pracy. Z każdego szczegółu widać było, jak wiele znaczy dla teatru kierownictwo prawdziwie artystyczne i bezinteresowne. Tak pięknych dekoracyj, jak w czwartym akcie Halki, Lwów jeszcze nie widział, kostyumy, nietylko solistów, ale i chóru, były piękne i stylowe. I znowu musimy parę słów gorętszych poświęcić p. Czelańsky'emu, na którego młodą głowę spada cała odpowiedzialność za sprawowanie się orkiestry i chóru. Orkiestra z niesłychaną werwą odegrała uwerturę, mazura i kołomyjkę, a w akompaniamencie była czułą na wszystkie najsubtelniejsze nawet zmiany dynamiczne. Chóry śpiewały znakomicie. Trzeci akt zwłaszcza, był wypracowany koncertowo. Byliśmy zdumieni, słysząc pianissimo w chórze, na który przyzwyczailiśmy się nie zwracać zbytniej uwagi.

Tylko akt I. opery nie udał się. Chóry chwiały się, nierówność denerwująca, przejawiała się to w orkiestrze, to w śpiewie solistów.

P. Myszuga, jako Jontek, wzniósł się na wyżyny najczystszego, najprawdziwszego artyzmu. Głos jego brzmiał tym razem świeżo, a odśpiewaniem aryi „Szumią jodły“, porwał całe audytoryum. Widziałem oczy zaprószone łzami, piersi unoszone żywszą falą.

P. Korolewicz, jako Halka, miała dwie fazy. Pierwsza liryczna, wypadła znakomicie, głos jej, w pianach zwłaszcza, srebrzył się idealnym dźwiękiem; pod tym względem nie możnaby sobie wymarzyć lepszej Halki, ale w ustępach dramatycznych raziło nas krzyczenie głosem i zbytnie forsowanie tonów wysokich, które sprawiało przykre dla ucha wrażenie.

P. Szymański śpiewał trochę za surowo. Pragnęlibyśmy w jego grze i śpiewie nieco więcej miękości.

P. Jeromin w Polonesie po raz pierwszy dał nam usłyszeć swój głos piękny.

P. Ruszkowska w roli Zofii, była ogromnie sympatyczna. Umiejętne używanie pięknego głosu i widoczna intuicya artystyczna, wróżą jej przyszłość. P. Kaufman odśpiewał pięknie w trzecim akcie maleńką rolę pastuszka.

Z TEATRU.

Najwyższe uznanie należy się panu Pawlikowskiemu za tak piękne, staranne i stylowe wystawienie „Halki“ i „Nowej Dejaniry“. Dla tych, którym sztuka jest wszystkiem w życiu, były to prawdziwe uczty artystyczne, podczas których zopominało się o tem życiu codziennem, bezsłonecznem, szarem. Marzenia nasze spełniły się w zupełności; szkoda tylko, że publiczność okazuje na każdem miejscu apatyę dla tego, co piękne i wzniosłe.

* * *

W poniedziałek 15. października, wystawiono po raz drugi „Nową Dejanirę“, albo „Niepoprawnych“ Słowackiego. Teatr świecił przeraźliwemi pustkami. Jakto, więc w mieście, liczącem stopięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i mającem pretensye do znawstwa sztuki, nie znalazło się choćby tylu ciekawych, aby ujrzeć to potężne dzieło Słowackiego, perłę polskiego dramatu. Uważaliśmy ten pusty teatr za profanacyę czystej sztuki, za krzywdę wyrządzoną nieśmiertelnemu duchowi Juliusza za świadectwo ubóstwa, jakie panuje dziś jeszcze w naszem społeczeństwie. Wystawcie tłustą farsę francuską, a zjawi się w teatrze nasza arystokracya i szanowni rajcy miasta i urzędnicy, którzy skarżą się na brak pieniędzy, a wtedy znajdą pewnie w kieszeni parę koron „aby się zdrowo i wesoło zabawić“. Sprawa ta zresztą nie potrzebuje szerszych komentarzy. (Nędzne wystąpienie któregoś z gryzipiórków przeciw Słowackiemu, pomijamy milczeniem). Dość nadmienić, że w Krakowie grano „Niepoprawnych“ dziesięć razy, przy wysprzedanym teatrze. O ile Kraków stoi wyżej kulturalnie od Lwowa — to najlepszy dowód!

* * *

W czwartek ujrzeliśmy komedyę Blizińskiego „Mąż od biedy“ w nowej obsadzie.

Na pierwszy plan wybili się w swoich rolach pp. Solski i Roman, odtwarzając znakomicie, już nieco przestarzałe typy dziedzica i dzierżawcy. W pp. Solskim i Romanie uzyskał Lwów najwybitniejszych artystów, niezrównanych prawie w rolach charakterystycznych.

* * *

Z ogromnym nakładem pracy i staranności przygotowuje dyrekcya „Fausta“, który w tych dniach, w odnowionej szacie, ujrzy światło dzienne. Małgorzatę będzie śpiewać pani Korolewicz, reszta partyj pozostaje w dawnej obsadzie. Rolę p. Myszugi będzie dublował Drzewiecki, a partyę p. Szymańskiego p. Ludwig.

Pomnik Stanisława Małachowskiego.

W zeszycie dzisiejszym zamieszczamy podobiznę jednej z najpiękniejszych pamiątek, znajdujących się w kościele archikatedralnym św. Jana w Warszawie. Jest to pomnik Stanisława Małachowskiego, senatora i słynnego marszałka Sejmu czteroletniego.

Stanisław Małachowski urodził się r. 1736. w Końskich. W 28-ym roku życia wybrany został posłem na Sejm koronacyjny, u wkrótce mianowany marszałkiem trybunału koronnego. Za wyjątkową sprawiedliwość i bezstronność nazwano go polskim Arystydesem. W r. 1780. mianowano go referendarzem koronnym, a ogólny szacunek i uznanie, jakie sobie pozyskał, sprawiły, iż w r. 1788. jednomyślnie obwołano go marszałkiem Sejmu, który uchwalił wiekopomną konstytucyę majową. Za czasów księstwa Warszawskiego, jemu poruczono układy o sól z rządem austryackim, a gdy skarb księstwa nie mógł udzielić ewikcyi, Małachowski zapewnił ją na własnych dobrach.

Stanisław Małachowski zmarł w r. 1809. i pochowany został w kościele św. Krzyża w Warszawie, w katedralnym zaś kościele św. Jana wzniesiono mu pomnik, którego wizerunek zamieszczamy.

Na sarkofagu, wzniesionym na ciemnobronzowej podstawie marmurowej, siedzi senator rzymski o rysach oblicza nieboszczyka. Obok żołnierz i niewiasta, opłakująca stratę.

Na ciemnobrunatnym kamieniu widnieje złoty napis: „Przyjacielowi ludu“ — na pamiątkę, iż Małachowski był jednym z pierwszych, co w majątkach swych uwolnił chłopów od pańszczyzny i nadał im wolność osobistą.

NADESŁANE.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.